



# GAJUSZ WIOSNĄ

BEZPŁATNY KWARTALNIK  
FUNDACJI GAJUSZ

02/16

SPEŁNIJ  
MARZENIA  
— *dopóki* —  
JEST NA TO CZAS

KRS 0000 109 866

## Zamiast wstępu

# Gajusz Jan

Mój syn, który ma na imię Gajusz, w lipcu 2016 roku skończy 20 lat. Dostał się na wymarzone studia w Wielkiej Brytanii. Zamierza zostać prawnikiem. Ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest zdrowym, silnym mężczyzną, a ja szczęśliwą mamą i prezesem fundacji GAJUSZ. Dwadzieścia lat temu nic nie zapowiadało takiego scenariusza.

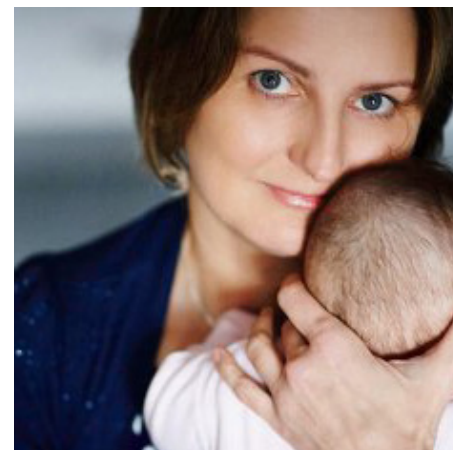
Gajusz miał 9 dni kiedy ciężko zachorował. Wydaje mi się, że to było bardzo niedawno. Nie zadawałam wtedy pytań „dlaczego ja”, bo w sumie dlaczego ktoś inny? Płakałam i nie miałam chusteczek higienicznych. Nie byłam przygotowana na nieszczęście. Czułam się bezradna i śmiertelnie przerażona. Lrytował mnie mąż. Pierwszy zadał pytanie czy dziecko przeżyje. Oszalałam ze złości, że coś tak strasznego mogło mu przyjść do głowy. Żyłam w przekonaniu, że dzieci nie umierają. Nie moje. Nie było psychologa, lekarz udzielał zdawkowych informacji. A śmierć istniała naprawdę, na pierwsze imię miała Paulinka. Ale tego dowiedziałam się kilka miesięcy później. W Boże Narodzenie.



Moje życie zaczęło się toczyć się w izolatce, na wąskiej, zielonej leżance. Karmiąc w nocy bałam się, że zasnę i Gajusz spadnie. Przetrwiałam dzięki temu, że stałam się częścią małej grupy mam chorych dzieci. Były w takiej samej sytuacji jak ja. Wprowadziły mnie do swojego - mojego - naszego nowego życia. Dzięki nim mogłam wyjść do stołówki dla rodziców, pod prysznic, uwierzyć, że nie umrę ze strachu i rozpacz, że mój syn może na mnie liczyć. Nocne rozmowy nigdy nie dotyczyły naszych chorych dzieci. Powoli docierało do mnie, że Gajusz potrzebuje spokoju, mleka z piersi, zrównoważonej matki. Tych kilka lipcowych dni i dodatkowo śmierć ukochanego dziadka Jana, spowodowało, że dorosłam. Szybko i boleśnie. Jedynym elementem łączącym szpital ze światem zewnętrznym był szaro-czarny automat telefoniczny z dziurką na pieniądze. Musiałam zamawiać miejsce w kolejce, żeby porozmawiać z bliskimi. Nasza izolatka znajdowała się na drugim piętrze, na oddziale zwanym „siódemką”, prysznic był w piwnicy, a klucz u portiera w dyżurce obok bramy. Zimą biegłam po śniegu w klapkach, z mokrą głową, żeby oddać

klucz. Stołówka też była w zakamarku na końcu szpitala. Świeże, chrupiące kanapki dostarczano trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki. W środku była sałata, pomidory, ogórek, żółty ser, szynka i majonez. Kochałam te bułki.

Wiele zmieniło się od lata 1996 roku. Dzisiaj szpital wygląda zupełnie inaczej: Dzięki fundacji Gajusz na oddziałach onkologicznych pracuje zespół doświadczonych psychologów oraz pracownik socjalny. Chore dzieci i rodziców odwiedzają wolontariusze. Ponadto fundacja organizuje warsztaty teatralne, plastyczne, muzyczne oraz mnóstwo ciekawych spotkań, troszczy się także o zdrowe rodzeństwo małych pacjentów. Bo często te dzieci niosą na swoich barkach największy ciężar w całej rodzinie. Od 2005 roku działa hospicjum domowe, od ponad dwóch lat stacjonarne i perinatalne. Fundacja GAJUSZ 20 lutego 2016 roku obchodzi 18 urodziny. Ciekawi jesteście jakie mamy plany na pełnoletność? Jeśli tak już niedługo się dowiecie.



*Visa Ławoche Kuśtkowska*  
Prezes Zarządu Fundacji Gajusz

## W numerze

---

- 2 | **Słowa, które pomagają**  
czyli co o nas piszą
- 13 | **18/10 lat (w) Fundacji Gajusza**  
opowiada Magda Czekąła-Gawęda
- 14 | **Veluksik**  
czyli w 4 lata na drugą stronę lustra
- 17 | **Pracownia Pediatrycznej Opieki Paliatywnej**  
opowiada nasza doktor Ola
- 18 | **W stronę światła**  
Małgorzata Stolarska o zmianach
- 21 | **18 lat wolontariatu**  
Nasi Wolontariusze i ich historie
- 24 | **3 lata z Gajuszem**  
minęło jak z bicza strzełił
- 26 | **Jaś miał 20 minut**  
niestety - na życie
- 27 | **Pomoc prawna**  
w sytuacjach, których nie życzymy
- 28 | **Oliwia**  
rodzice opowiadają
- 31 | **Pomoc Prawna**  
opowiada Magda Czekąła-Gawęda
- 32 | **Gajusz Poleca**  
polecamy firmy więcej niż godne polecenia
- 33 | **Druczek przelewu**  
czyli jedna z opcji pomocy
- 34 | **Jak nam pomóc**  
metod jest w bród

## Kwartał myśli

---

Właściwie chodzi wyłącznie o to, żeby nie poddać się zmęczeniu, nigdy nie dopuścić do braku zainteresowania, do obojętności, nigdy nie zagubić swej bezcennej ciekawości, bo wtedy człowiek sam sobie pozwala umrzeć..

{ TOVE JANSSON }



siedziba i adres do koresp.: 93-271 Łódź ul. Jarosława Dąbrowskiego 87  
+48 42 631 00 41 | [biuro@gajusz.org.pl](mailto:biuro@gajusz.org.pl) | [www.gajusz.org.pl](http://www.gajusz.org.pl)  
godz. pracy: pn-pt, 9:00 – 17:00 | NIP: 725 16 57 818 | KRS: 0000 109 866  
nr. konta: Bank Pekao 80 1240 1545 1111 0010 6257 1028  
skład: Michał Poniedziałki | foto: Fundacja Gajusz oraz freeimages.com  
druk: Drukarnia Arsa ([arsa.net.pl](http://arsa.net.pl))

# Słowa, które pomagają

Dziękujemy dziennikarzom, którzy przez cały okres istnienia Fundacji i Hospicjum wspierają nas i pomagają nam trafić z informacją do Państwa. Mamy dowody na to, że słowo pisane ma swoją moc.

Tym razem, z okazji **18. urodzin Fundacji** prezentujemy archiwalia w ich mniej więcej oryginalnej formie.

**Gazeta Wyboreza**  
2 czerwca 1998

*jeden z pierwszych  
artykułów o Fundacji*



**GAZETA WYBORCZA**

**gazeta**  
W Y B O R C Z A

WTOREK  
2 czerwca 1998  
NR 128 (2387)  
REDAKTOR PRÓWADZĄCY  
TOMASZ WŁODKOWSKI  
DODATEK  
DO „GAZETY WYBORCZEJ”  
ISSN 1232-1540

**Przyjaciel dziecka  
- Gajusz**

FUNDACJE. Pierwsi wolontariusze w szpitalu

**M**ama chorej Margarity nie musi już zamartwiać się o drugą córkę, która została w domu. Na „postelnicu” w szpitalu zastąpi ją Monika - studentka pedagogiki i wolontariuszka.

Monika i sześcioletnia Margarita poznały się wczoraj w ogrodzie szpitala przy ul. Spornej. Dziewczynka z zachwytem wpatruje się w misia przytulankę, którego właśnie dostała. - To jest Tomek - mówi z powagą. - A czy pani zawsze będzie taka miła? - zwraca się do Moniki.

Obok na trawie siedzą dzieci, też pacjenci szpitala, i ich mamy. Przyszli na pierwsze spotkanie z wolontariuszami, które zorganizowała Fundacja Gajusz. - Chcemy państwu pomóc, odciążyć was trochę na oddziale. Każdy z wolontariuszy może zająć się jednym dzieckiem. W tym czasie możecie państwo gdzieś wyjść, załatwić pilne sprawy - mówi Barbara Dołęgiewicz z fundacji. - Organizujemy też warsztaty psychologiczne dla dorosłych, aby łatwiej było przetrwać te trudne chwile.

- To wspaniały pomysł - ucieszyli się rodzice. A pomysł, jedynie w regionie, podpowiadało życie.

**Żeby nie byli samotni**

ka, założycielka fundacji. - Kiedy mój synek leżał w szpitalu przy ul. Spornej bałam się zostawić go choćby na chwilę. Jednocześnie była tam leczona Paulinka z domu dziecka. Cały czas była zupełnie sama. Nie miała nikogo poza lekarzami i pielęgniarkami, kto by jej pomógł. Zajęliśmy się nią razem z mężem, bo nie mogliśmy patrzeć na jej samotność.

Pół roku później Tisa dowiedziała się, że Paulinka zmarła. Wtedy zrozumiała, że dziewczynka nie miała żadnej motywacji, żeby walczyć. W tym samym czasie Gajusz Zawrocki wyzdrowiał. - Pomyślałam, że żadne dziecko nie może być tak samotne jak Paulinka. A rodzice też potrzebują pomocy, dlatego z grupą przyjaciół założyliśmy fundację.

Fundacja znalazła już 70 wolontariuszy, głównie studentów pedagogiki specjalnej. Zostali przeszkoleni pod względem medycznym i psychologicznym, ponieważ będą kontaktować się z dziećmi na najcięższych oddziałach: onkologicznym, białaczkowym i poparzeń. Zdają też sobie sprawę z tego, że ich mali podopieczni mogą umrzeć - choć na szczęście zdarza się to coraz rzadziej dzięki postępowi w sztuce medycznej.

i przyjaźnie. Umawiano się na konkretne terminy wizyt w szpitalu.

**Chwila dla siebie**

- Takie nieszczęście. Jesteśmy w szpitalu pierwszy dzień i już wiem, że trzeba będzie zostać dłużej. Mała ma bardzo złe wyniki, podejrzewają białaczkę - rozpacza mama Margarity. Martwi się o czternastoletnią córkę, która została w domu. - To trudne dziecko. Kiedy pani Monika mnie zastąpi, muszę do niej zajrzeć na parę godzin.

Z czteroletnią Martynką zaprzyjaźniła się pani Kasia. Mała Ignie do niej, bo wolontariuszka przypomina jej starszą siostrę. - Jak to dobrze. Wreszcie będę miała chwilę dla siebie, żeby choć posiedzieć na ławie w parku - cieszy się mama Martynki. - Świetnie, że będzie pomoc psychologiczna dla rodziców. Słyszałam, że tu dwie matki nie wytrzymały, są podobno w szpitalu psychiatrycznym.

Choć na oddziale onkologicznym i białaczkowym żadne z dzieci nie jest samotne, ale na innych są pacjenci, których nikt nie odwiedza. Przede wszystkim do nich dotrą wolontariusze. A jeśli eksperyment się powiedzie, fundacja rozszerzy pomoc na szpital dziecięcy im. Korczaka.

ZDROWIE. Nowe hospicjum w Łodzi

Gazeta Wyborcza

1 lutego 2005

Tomasz Michałowicz

# Z opieką w domu

*Więcej chorych dzieci ma szansę na fachową pomoc i obecność rodziców przy łóżku. Ruszyło drugie hospicjum dla najmłodszych*

**TOMASZ MICHAŁOWICZ**

Założyła je łódzka Fundacja „Gajusz”. Powstało w ekspresowym tempie. – Namawiali nas wszyscy. Rodzice naszych podopiecznych, a nawet lekarze ze szpitali, do których nieśliśmy doraźną pomoc – mówi Tisa Żawrocka, prezes Fundacji. Pomogli też urzędnicy – hospicjum ma już kontrakt z NFZ!

Do dyspozycji małych pacjentów jest lekarz, pielęgniarka, pracownik socjalny i psycholog. Stawiają się w ich domach na każde wezwanie: 24 godz. na dobę, przez siedem dni w tygodniu. Nie leczą ich, nie reanimują, nie wzywają pogotowia. Ich celem nie jest przedłużanie życia za wszelką cenę, ale ulga w cierpieniu: zmniejszenie bólu, opieka pielęgniarska, dostarczanie leków i pomoc socjalna.

Hospicjum jest domowe, bo dzieci chcą umierać we własnym mieszkaniu. – Gdy mały pacjent trafi do szpitala, myśli tylko o jednym: o powrocie do



DARIUSZ KULESZA

*Jednym z podopiecznych hospicjum jest 5-letni Patryk chory na pęcherzycę. Dzięki zbiorce Fundacji „Gajusz” chłopiec mógł wrócić do domu i żyć wśród najbliższych, zamiast w szpitalnej izolatce*

domu. Jeśli lekarze nie mogą już pomóc, nie ma sensu zmuszać maluchów, by nadal oglądały szpitalne ściany – uważa prezes „Fundacji”.

W Łodzi działa już jedno domowe hospicjum dla małych pacjentów. Czy drugie jest potrzebne? – Oczywiście, nadal 90 proc. dzieci umiera w szpitalach. Nie można się z tym godzić – mówi Żawrocka. Nowa działalność pozwoli zatrzymać przy dzieciach opiekunów, do których są już przyzwyczajone.

Hospicjum ma kilku podopiecznych z chorobami takimi jak guz mózgu, pęcherzyca czy ciężkie porażenie mózgowie. Trafiły do „Gajusza” skierowane przez lekarzy ze szpitali. Ich rodzice wiedzą, że dziecko nie ma już szans. Również dzieci są poinformowane, że to koniec leczenia. Czy wszystkie wiedzą, że umrą? Żawrocka: – Radzimy rodzicom, by na wprost zadane pytanie mówili dziecku prawdę. Większość dzieci pyta.

**Fundacja „Gajusz”** działa od lutego 1998 r. Od początku pomaga przelekle i nieuleczalnie chorym dzieciom oraz ich rodzicom. Współpracuje z Centrum Onkohematologii w szpitalu przy ul. Spornej w Łodzi. Zapewnia dzieciom z chorobą nowotworową pomoc psychologiczną i materialną. Umożliwia im leczenie dowożąc do szpitali w całej Polsce.

Kontakt dla rodziców i kandydatów na wolontariuszy: ul. Piotrkowska 17 (wejście D), tel. 631-00-41.

Z **TISĄ ŻAWROCKĄ-KWIATKOWSKĄ**, prezesem zarządu Fundacji Gajusz, rozmawia Joanna Leszczyńska

# „Hospicjum” brzmi strasznie, toteż nazwaliśmy je „pałacem”

2 października nastąpi uroczyste otwarcie jedyne w centralnej Polsce Stacjonarnego Hospicjum dla Osieroconych Dzieci, wybudowanego przez Fundację Gajusz. Co dominuje: radość i satysfakcja z wykonanego zadania, czy ulga, że skończyła się trwająca dwa i pół roku inwestycja, na którą, co często Pani powtarza, nie wydała Pani ani jednej publicznej złotówki?

To jest mix tych uczuć. Pewnie, że jest ulga, że skończyło się coś, co wydawało się, nigdy się nie skończy. Ale to chwilowe uczucie. Teraz do głosu dochodzi lęk, czy wszystko zrobimy najlepiej jak to jest możliwe. Bo przecież zaczyna się następne zadanie: opieka nad bardzo chorymi dziećmi. Jesteśmy przygotowani na przyjęcie 12, 13 dzieci. Tu będzie dom dla dzieci, pozostawionych w szpitalu, które nie mają możliwości powrotu do domu. Oczywiście, pierwszeństwo mają te dzieci, które rzeczywiście są osierocone. Ale takie sytuacje zdarzają się sporadycznie. Nawet w domach dziecka głównie są sieroty społeczne, a nie biologiczne.

Dzieci, które już za kilka dni u nas zamieszkają, z wyjątkiem jednego, nie pochodzą z patologicznej rodziny. To są rodziny żyjące w skrajnej nędzy. Nie czują się na siłach, by podjąć się opieki nad ciężko chorym dzieckiem. Na razie będzie pięcioro dzieci: najmłodsze ma pięć miesięcy, a najstarsze dzie sięć. Dwoje z nich już widziałam. Pierwsze dziecko zgłoszono nam w piątek, 13 września i dlatego nazwałam go Piętaszkiem. Ma pięć miesięcy. W tej chwili leży u prof. Zemana w Matce Polce. Jest wcześniakiem, urodzonym w 25 tygodniu ciąży, z przewle-



Dziennik Łódzki

27 września 2013

Joanna Leszczyńska

Zwracałam się do łódzkich posłów i nic. Jeden, z partii rządzącej, umawiał się dwa razy, nie przyszedł i nawet nie zadzwonił, że go nie będzie. Ale pomogły inne osoby, często prywatnie.

klą chorobą płuci poważnymi wadami ortopedycznymi. Oddycha przez maseczkę i leży na wyciągu. Z tymi wyciągami przyjedzie do nas 3 października. Jego rodzice żyją w skrajnie trudnych warunkach. Nie mają nawet bieżącej wody. A to dziecko wymaga bardzo troskliwej medycznej opieki. Wierzę, emu się uda. Patrzył na mnie w taki sposób, że mam przekonanie, że da radę. Skontaktowała się z nami jego babcia, która go kocha i odwiedza w szpitalu. Jest bardzo troskliwa. Nie ma możliwości zrezygnowania z pracy i zajęcia się tak chorym dzieckiem. Była już tutaj, widziała jego pokój.

### **W jakich okolicznościach przekonała się Pani, że taka placówka jest potrzebna?**

Zaczął się siedem, osiem lat temu od Patryka z Pabianic. Mieszkał w skrajnej nędzy, w strasznie zagrzybnym mieszkaniu bez bieżącej wody. Urodził się z chorobą neurodegeneracyjną, uszkadzającą mózg. Zadzwońiła do nas kuratorka z Sądu Rodzinnego, że mają takie nieuleczalnie chore dziecko, którego rodzice są ewidentnie nieudolni, i zapytała, czy możemy pomóc. Pojechałam do domu Patryka. Przytułił się do mnie i nie chciał puścić mojego sweterka. Miał wtedy 3,5 roku. Stanęliśmy na głowie, by tej rodzinie bardzo szybko załatwić mieszkanie. I załatwiliśmy, ale kiedy po kilku latach stan dziecka się pogorszył, Patryk trafił decyzją sądu i za zgodą rodziców do nowo otwartego hospicjum stacjonarnego w Rzeszowie. To był pierwsze tego typu hospicjum w Polsce. Pomyślałam, że potrzebne byłoby także w Łodzi. Rzadko dziecko umierające jest pozbawione opieki rodziny, ale tak bywa. Domy opieki społecznej są absolutnie nieprzygotowane do opieki nad pacjentami w takim stanie. Mieliśmy kiedyś pacjentkę, Ewitę, dziewczynkę narodowości romskiej w DPS-ie w Łodzi. Jak tylko jej stan się pogarszał, to opiekunki natychmiast wzywały pogotowie i dziewczynka jechała do szpitala. Stanęłam na rzesach, by pomóc dziadkom Ewity, którzy nie byli z nią spokrewnieni, stać się specjalistyczną rodziną zastępczą. Dziadkowie zabrali Ewitę do domu. Przeżyła jeszcze dwa miesiące. Odeszła w wieku 15 lat.

### **Pokoje, które czekają na dzieci, wyglądają jak z bajki: różowe firaneczki, misie, nowa, kolorowa pościel. Przypominają prawdziwy pokój dziecięcy w prawdziwym domu, a może nawet królewską komnatę, ale to jednak substytut domu...**

Mam nadzieję, że najlepszy z możliwych, bo zrobiliśmy naprawdę dużo. Ale to nie jest dom. Dzieci przede wszystkim potrzebują miłości osób bliskich. Gdybyśmy nie wiem, co zrobili, nie zastąpimy im rodziny. Jeżeli jest cień szansy, że rodzina będzie chciała się tu pojawiać, to my bardzo serdecznie zapraszamy. Nie będziemy nikogo oceniać, bo nie jesteśmy w ich sytuacji. Przygotowujemy pokoje na drugim piętrze, żeby rodzina miała się gdzie zatrzymać, żeby mogła też wziąć ze sobą rodzeństwo. Ci ludzie często się po prostu boją, że nie poradzą sobie z opieką nad tak chorym dzieckiem, ale jak przyjdą i po kilku tygodniach zorientują się, że to nie jest jednak takie straszne, to kto wie, może niektórzy się zdecydują zabrać dziecko do domu. Zwłaszcza, że my nadal prowadzimy hospicjum domowe. Wiem, że słowo „hospicjum” brzmi strasznie, a już hospicjum dla osieroconych dzieci zawiera w sobie ogrom smutku: cierpienie, samotność, porzucenie. Toteż wymyśliliśmy sobie, że nazwiemy to miejsce pałacem. Tak to nawet oficjalnie zarejestrowaliśmy: Pałac-Hospicjum dla Osieroconych Dzieci.

### **Nazwanie czegoś inaczej ma jakąś moc sprawczą?**

Tak, wydaje mi się, że to nie jest tylko nazwa, za tą nazwą są jeszcze konkretne wnętrza, korytarze, pokoje. Mam przekonanie, że jeżeli ktoś przebywa w takim wnętrzu, które jest przytulne, ładne, bezpieczne, to jest w nim jakaś energia, bo ktoś to przygotował specjalnie, by dziecko się tu dobrze czuło. Koszty, jakie ponieśliśmy są mniejsze niż gdyby to były wnętrza stricte szpitalne. Meble szpitalne, które mają atesty, kosztują niewyobrażalne pieniądze. Dzięki życzliwości urzędników Sanepidu spełniliśmy wszystkie wymogi i dochowaliśmy standardów, ale udało nam się wydać znacznie mniej i jednocześnie stworzyć domową, a nie szpitalną atmosferę.

Na przykład zbudowaliśmy na zamówienie szafki, na których są położone wianienki dla najmłodszych dzieci, za które zapłaciliśmy ok. 2 tysiące złotych, które w sklepie medycznym kosztują 18 tysięcy.

### **Nie wydała Pani na to hospicjum ani jednej publicznej złotówki. To brzmi dumnie, ale też trochę jak zarzut...**

Budynek przy ulicy Dąbrowskiego 87, w którym mieści się nasz pałac, dostałam od miasta w stanie surowym, tzw. otwartym. Były tylko mury i stropy. Ten budynek wyszukał dla nas ówczesny wiceprezydent Tomaszewski, który zrobił też badania jego stanu technicznego. Oficjalne przekazanie nam tego obiektu przesunęło się w czasie i ostatecznie przekazał nam go prezydent Sadzyński. Kiedy usiadłyśmy z koleżankami, powiedziałyśmy sobie: Ja nie mam nic, ty nie masz nic i... musimy dać sobie radę. Poumawialiśmy się ze wszystkimi ważnymi ludźmi w tym mieście. Wszyscy się z nami spotkali i wzruszyli, ale potem już nigdy więcej nie odebrali od nas telefonu. Poza wojewodą Jolantą Chełmińska, która prywatnie, nie urzędowo, zaangażowała się w naszą budowę. M.in. uruchomiła prywatne kontakty, kiedy kończyły nam się wszystkie pieniądze i nie mieliśmy za co dokończyć parteru. Dokonała też zakupów. Zwracałam się do łódzkich posłów i nic. Jeden, z partii rządzącej, umawiał się dwa razy, nie przyszedł i nawet nie zadzwonił, że go nie będzie.

Posłaliśmy też do dyrektora aresztu, który tak się przejął, że mamy dwa tysiące metrów do wyremontowania i zero na koncie, że w ciągu trzech dni przysłał nam do pracy więźniów. A my wzięliśmy się za przygotowywanie projektów i wniosków pozwolenia na budowę. No i zaczęliśmy zbierać pieniądze. Osobiście najbardziej jestem wdzięczna tym firmom i osobom, które zaoferowały nam pomoc, kiedy racjonalnie patrząc, mogły uznać, że polegniemy. Ale zaryzykowali. Bo jak skończyliśmy pierwsze piętro i był plan parteru, było już widać, że coś z tego będzie. Już było łatwiej uzyskać pomoc. Placówkę już otwieramy, choć jeszcze kończymy drugie piętro, a na nim pokoje dla rodziców. Już

nie chcieliśmy dłużej odwlekać momentu otwarcia, bo dzieci czekają. Doktor ze szpitala na Spornej zgłosiła nam, że chciałyby nam przysłać jedno dziecko z onkologii razem z mamą, bo w domu nie mają odpowiednich warunków. A to dziecko ma szpitalną traumę, nie chce być już w tym szpitalu.

#### Jaki był koszt wybudowania tego hospicjum?

Wartość wszystkich prac budowlanych na dziś wynosi 2,5 mln złotych, co jak na warunki łódzkie, jest bardzo dużą kwotą. Są to darowizny rzeczowe i finansowe. Pewna firma z drugiego końca Polski, kiedy byliśmy na etapie poszerzania drzwi, wysłała nam w prezencie ekipę na tydzień. Jeden ze stolarzy wziął połowę należnych zarobków. Ale tu jest przecież także mnóstwo sprzętu, zabawek. Nie potrafię powiedzieć, ile to kosztuje.

#### Poręczała Pani tę inwestycję swoim mieszkaniem...

Nie chcę robić z siebie bohaterki, ale nie było innego wyjścia. Rzeczywiście, kredyt na termomodernizację obiektu uzyskaliśmy, poręczając go moim mieszkaniem. 560 tysięcy kredytu, miesięczna rata 16 tysięcy. Żartuję sobie, że w razie czego mam wybrany pokoiak na drugim piętrze.

#### Powiedziała Pani kiedyś, że rozpoczęcie tej inwestycji było dowodem wielkiego zaufania do ludzi. I jaki jest bilans?

Jak najbardziej na plus. Podczas uroczystego otwarcia będzie okazją, by podziękować wszystkim. Ale chciałabym już teraz wspomnieć o Magdzie i Włodzimierzu Kulach z PGE. Dali nam prywatne komórki, pomogli w uzyskaniu dotacji z PGE. Kiedy byłam w najgorszej czarnej dziurze, bo nie miałam na nic, a chodziło choćby o to, by wykupić

kafelki z upustem 80 procent, wysłali na cito 5 tysięcy z prywatnych pieniędzy.

Nie kupiliśmy żadnego telewizora, wszystkie dostałyśmy od pani Danuty z Danii, która poznała nas na Facebooku. Miała odłożone z mężem pieniądze na podróż ich marzeń po Afryce luksusowym pociągiem, ale mąż zmarł półtora roku temu na raka trzustki. Doszła do wniosku, że mąż wolałby, aby pieniądze zostały wydane tu, a na Afrykę to ona sobie jeszcze uzbiera. Kupiła luksusowe rzeczy, których my byśmy nie kupili, na przykład ekstra foteliki samochodowe, ale ona uważa, że te dzieci zasługują na odrobinę luksusu.

Rozm. Joanna Leszczyńska

## Order Uśmiechu dla dr Małgosi

Kiedy byłam małą, marzyłam o ciekawej pracy, niekoniecznie łatwej. Gdy pracuję z chorymi na nowotwory dziećmi, wiem, że moje marzenie się spełniło - mówiła dr Małgorzata Stolarska, odbierając odznaczenie

#### MAŁGORZATA KOZERAWSKA

Jej zdaniem Order Uśmiechu to najważniejsza w życiu nagroda, bo przyznają ją dzieci. Już półtora roku temu mali pacjenci oddziału onkematologii, szpitala przy ul. Spornej, wpadli na pomysł, aby w ten sposób uhonorować swoją ukochaną dr Małgosię. W przygotowaniu wniosku pomogła Fundacja „Gajusz”, która współpracuje z dr Stolarską. Powstało ogromne słońce, w którego promienie dzieci wpisały, dlaczego kochają panią doktor. Bo: jest góralką (naprawdę pochodzi z Zakopanego), ma ciepły uśmiech, jest kochana i taka duża, że przy niej nie trzeba się niczego bać, i kiedy się bawia, nigdy im nie przeszkadza.

Tuba ze słońcem została wysłana do Kapituły Orderu i wreszcie nadeszła długo oczekiwana odpowiedź - jest order dla pani doktor. Wczoraj został on wręczony w Manu-

fakturze. W imprezie uczestniczyło kilkadziesiąt dzieci - obecnych i wyleczonych pacjentów. Przygotowano dla nich dodatkowe atrakcje - występ komików i zwiedzanie Eksperymentarium. Mogły tam same wykonać eksperymenty, o których uczą się w szkole. Dr Stolarska była tak szczęśliwa, że radości nie zakłócił jej nawet puchar soku cytrynowego - jego wypicie jest obowiązkiem przed wręczeniem Orderu.

Na co dzień lekarka jest ordynatorem oddziału onkohematologii szpitala dziecięcego przy ul. Spornej, dyrektorem ds. medycznych Hospicjum Domowego dla Dzieci Ziemi Łódzkiej i wykładowcą Uniwersytetu Medycznego na Wydziale Lekarskim i Wydziale Filozofii.

W krótkim czasie to już drugi Order Uśmiechu dla osób związanych z Fundacją „Gajusz”. W ubiegłym roku odznaczenie dostała Tisa Zawrocza - założycielka i prezes fundacji. ●

malgorzata.kozerawska@lodz.agora.pl



Gazeta Wyborcza

24 kwietnia 2009

Małgorzata Kozerańska





## Twój Styl

„Dopóki jest czas”  
Agnieszka Litorowicz-Siebert

Miałam pomagać  
w powrocie do zdrowia,  
a sens życia  
znalazłam  
przy umierającym.

## *Kochać tu i teraz*

Aneta już nie mówi: przyjadę jutro. Jutra może nie być. Ważne jest dziś. Kocha swoją codzienność – mężczyznę, córki, dom. Doceniła to, co ma.

### **ANETA: Plac nieprofesjonalny**

– Miałam czterdzieści lat, byłam po rozwodzie, z dwiema dorastającymi córkami i czułam się źle – opowiada Aneta o momencie, w którym zdecydowała się przyjść na rozmowę o pracę. Wesola brunetka, zgrabna, sympatyczna. Pielęgniarka z powołania, w zawodzie 25 lat. Pracowała na dziecięcym OIOM-ie. Przed laty chciała zatrudnić się w pierwszym łódzkim hospicjum, ale ówczesny mąż przekonywał, że to praca nie dla niej. – Wtedy dałam się odwieść od tej decyzji. Widocznie musiałam do niej dojrzeć – tłumaczy. – Na rozmowie kwalifikacyjnej zaskoczyło mnie pytanie Tisy: jaki jest

pani stosunek do śmierci? Chciałam to przemyśleć. Umówiłam się na drugie spotkanie i już wiedziałam, że chcę tu pracować – wspomina Aneta. I opowiada o dwóch fotografiach. Pierwsza – z czasów tuż po rozstaniu z mężem. Jej młodsza córka powiedziała: „Mamo, wyglądasz tu na zmęczoną życiem kobietę”. I druga, zrobiona niedawno, którą córka skomentowała: „No, widać, że jesteś szczęśliwa”. Jak pielęgniarka, której w szkole wpajano, że jej misją jest pomaganie w powrocie do zdrowia, może się czuć spełniona jako towarzysząca śmierci? Aneta: – Musiałam się tego uczyć. Znaleźć sens w tym, że pomoc przy umieraniu

jest równie ważna jak leczenie – mówi poważnie. I wspomina odejście swojego pierwszego pacjenta. – Krzyś, umierał jako szesnastolatek. Najpierw mnie ignorował, byłam w jego świetle obca, przełamywanie lodów trwało długo. Kiedyś zauważyłam, że czeka na mnie, choć udawał, że spotkał mnie przez przypadek. Był świadomy, że nie ma dla niego ratunku. Szesnastolatek może sam decydować, czy przyjmować leki, kroplówki. Krzyś odmawiał. My w hospicjum to szanujemy. Taka jest zasada – dziecku umierającemu w domu oszczędza się bolesnych zabiegów, inwazyjnych terapii. Krzysiek uważał, że jest pogodzony z losem. Ale ja widziałam,

jak bardzo chce żyć. Pokazywał mi swój pokój w nowym domu i opowiadał, jak go umebluje. Mówił: „Zamówię biurko, sprzęt. Poczekam, bo musi być fajny. Mam czas”. A nie miał czasu. Któregoś dnia dostałam telefon: „Z chłopcem jest bardzo źle”. Pojechałam. Jego mama zapytała: czy coś jeszcze możemy dla niego zrobić? Podłączyłam kroplówkę z morfiną, aparat tlenowy i powiedziałam: nic więcej. A potem spytałam, czy mogę zostać przy nim do końca. Krzyś po prostu zasnął. Potem w samochodzie płakałam, pytając: dlaczego?! Płaczę zawsze, gdy umiera dziecko. Choć to nieprofesjonalne.



**Claudia**

Nr 11 2013

*Agnieszka Rakowska-Barciuk*

**Z**naszą mamą są same kłopoty. W sobotę obchodziła urodziny. Wszystkim mówiła, że na prezent chce pięćdziesiąt ton cementu. Bo musi szybko dokończyć remont budynku, w którym zamieszkają chore dzieci. W końcu dostała od nas czerwoną torebkę, też się ucieszyła – mówi Gajusz, syn Tisy Żawrockiej-Kwiatkowskiej, założycielki Fundacji Gajusz, która opiekuje się dziećmi walczącymi z chorobą. One potrzebują radości, uśmiechu, przytulania i magicznych słów, które pomagają: „Dasz radę”, „Jesteś dzielny”, „Wygrasz”. Wtedy wygrywają!

Gdy do Tisy dotarło, że dla jej syna nie ma już ratunku, przegoniła rozpacz i zaczęła targować się z Bogiem: „Uratuj Gajusza, a ja zaopiekuję się chorymi dziećmi, by dodać im sił do walki o życie”. I stał się cud. Chłopiec wyzdrowiał. Bo wiele jest możliwe. A nawet – wszystko.

Czas, który mamy,  
**TO MIŁOŚĆ**

Kadr z przeszłości. Lato 1996. Tisa wyprowadza się z Łodzi na wieś, do domu z ogrodem. Ma dwadzieścia sześć lat, dyplom filmoznawcy i szczęśliwe życie. Kilka dni temu urodziła trzecie dziecko, Gajusza. – Fajny! – zachwycają się bratem sześćioletnia Basia i dwa lata od niej młodszy Juliusz. Nagle, w dziewiątej dobie życia, Gajusz krztusi się, sinieją mu usta. Tisa jedzie z nim do szpitala. Słyszy, jak ktoś wzywa lekarza dyżurnego: „Mam noworodka w ciężkim stanie!”. Nogi się pod nią uginają.

– Jak to: „W ciężkim stanie!”? Przecież po urodzeniu syn dostał 10 punktów w skali Apgar! – matka chwyta się tej myśli jak koła ratunkowego. Niestety, lekarze nie mają dobrych wieści. – Szpik dziecka nie produkuje białych krwinek – granulocytów. Jest bardzo źle – mówią. Gajusz trafia na oddział onkologii. Lekarze robią, co w ich mocy, ale stan dziecka się pogarsza. Jest tylko jeden ratunek – przeszczep szpiku. Cała rodzina jest gotowa oddać swój szpik, ale nikt nie kwalifikuje się do zabiegu. – Weźcie nas – proszą przyjaciele Tisy. Niestety, nie można przeprowadzać przeszczepów od osób niespokrewnionych.

– Dociera do mnie, że to koniec. Mój synek umrze. Ile czasu mu zostało? Miesiąc, dwa? Przyszłość przestaje istnieć – opowiada Tisa. Wspomina, że kiedy miała pięć lat, dziadek

nauczył ją wiersza o Emilii Plater. Chciał, żeby wnuczka była dzielna jak mickiewiczowska bohaterka. – Zawsze starałam się temu sprostać – mówi Tisa.

Ale wtedy, w szpitalu, rozpada się na kawałki. Także przez to, co widzi przez szybę swej izolatki. W sali naprzeciwko leży śmiertelnie chora Paulina, dwulatka z domu dziecka. Umiera i jest zupełnie sama. Nikt jej nie przytula, nie bierze na ręce. – Tak nie może być! Chore dziecko potrzebuje miłości – oburza się Tisa. Chciałaby pójść do tej małej, ale nie może opuszczać izolatki. Jeśli to zrobi, narazi życie syna. Jego organizm nie poradzi sobie z bakteriami, które ona przyniesie.

**SAMOTNOŚĆ NIE JEST  
DLA DZIECI! – BUNTUJE  
SIĘ TISA I TARGUJE  
Z BOGIEM.**

– Złożyłam mu ofertę najlepszą, jaką miałam, a właściwie jedyną. Jeśli mój syn wyzdrowieje, założę fundację, która zaopiekuje się dziećmi takimi jak Paulina. Żeby żadne dziecko nie było samo w chorobie – opowiada.

I wkrótce stał się cud. Gajusz wyzdrowiał. – Choroba zniknęła. Tak po prostu! Mój syn naro-

**W BAJCE** Podopieczne Fundacji Gajusz w bajkowej stylizacji. – To była poetycka sesja, nasze zmierzenie się z problemem odchodzenia – mówi Tisa.

dził się na nowo! By to uczcić, pojechałam z rodziną na wakacje. Dopiero wtedy ogarnęły mnie wątpliwości. Ja i fundacja? Nawet nie wiem, jak się za to zabrać. Poza tym jestem matką trójki dzieci, mam co robić. Usprawiedliwiłam się, odpuściłam sprawę. Ale los pogroził mi palcem – wyniki badań Gajusza pogorszyły się. Wtedy się wystraszyłam. Z tego strachu powstała fundacja – mówi Tisa.

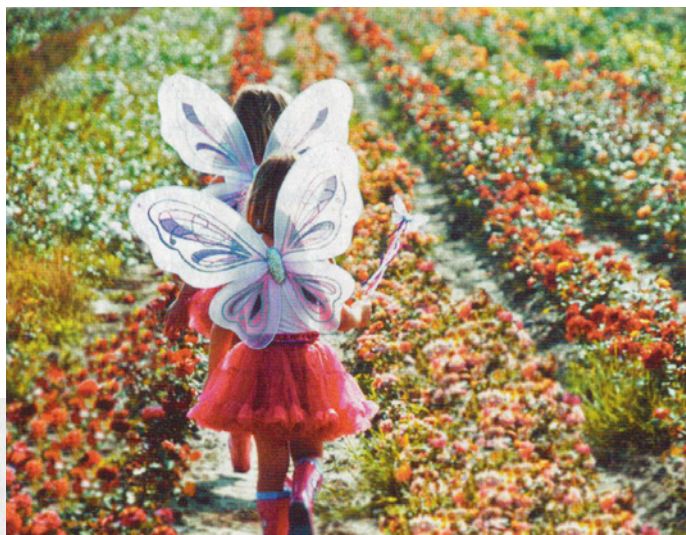
Wkrótce, wraz z grupą wolontariuszy, zaczyna odwiedzać dzieci w łódzkim szpitalu. Tym, w którym leżał jej syn. – Ktoś zamawiał wróżkę? – otwiera drzwi smutnej szpitalnej sali. Albo wymyśla inne zabawne powitanie. Zaskoczone maluchy, blade i zbolale, zwracają się do niej w radosnym oczekiwaniu.

– W tamtych czasach nikt nie mówił dzieciom, na co chorują.

„białaczka” czy „guz” były zakazane. Lekarze i rodzice wmawiali im, że mają anemię – mówi Tisa. Szybko odkryła, że dzieci bywają dojrzsze od dorosłych. Przed oczami ma takie obrazy. Pierwszy: przy łóżku Stasia szlochająca matka. – Jest mi dobrze, nie przejmuj się. To nie boli – uspokaja ją pięciolatek.

Obraz drugi: siedmioletni Przemek woła Tisę: „Ciociu, przyjdź pogadać!”. Tisa wchodzi do jego sali. Rozmawiają o głupotach, śmieją się. Nagle chłopiec pyta: „Jak to jest, gdy się umiera? Co się czuje?”. Tisie zapiera dech, ale mówi prawdę: „Ja tego nie przeżyłam. Ale ludzie, którzy byli blisko, mówią, że to nic nieprzyjemnego. Czuli, że coś zmienia się na lepsze”.

– Rozmowa pomaga. Chociaż czasem nie wiadomo, co powiedzieć. Ciężko chore dziecko, na



## HISTORIE Z ŻYCIA



### 1. JAK LEW

W życiu fundacji uczestniczą wszystkie dzieci Tisy. Na zdjęciu: jej syn Juliusz (w kostiumie lwa) pomaga jako wolontariusz w hospicjum dla dzieci.

### 2. PREZENT OD OJCA

Ten statek ojciec jednego z naszych podopiecznych składał przez 5 lat. Podarował go naszej fundacji – mówi Tisa.

### 3. WERONIKA

Tisa Żawrocka-Kwiatkowska z małą Weroniką, która miała raka, wyzdrowiała. – Weronika jest twarzą naszej kampanii „Wszystko jest możliwe”. To prawda! – uważa szefowa Fundacji.



ścislej diecie, mówi, że chciało-  
by pizzę. A ja wiem, że prawdo-  
podobnie już jej nie spróbuje. Al-  
bo jakiś rodzic wychodzi za mną  
z sali. Wzruszony dziękuje, bo  
syn uśmiechnął się pierwszy raz  
od tygodnia. Wtedy i ja jestem  
na granicy łez – opowiada.

Załamala się raz, po tym jak  
umarł chłopiec, którym się opie-  
kowała. – Kilka dni wcześniej  
wiozłam go na badania. Powie-  
dział, że ma nawrót choroby.  
„A jak tak jest, to nas już nie da-  
je się wyleczyć” – tłumaczył mi.

**WTEDEY COŚ WE MNIE  
RĘKŁO. CHCIAŁAM TO  
WSZYSTKO RZUCIĆ  
– PRYZNAJE TISA.**

– Przestałam sobie radzić.  
W drodze do domu omal nie  
zginęłam w wypadku, który  
sama spowodowałam. Dotarło  
do mnie, że jestem słaba – opo-  
wiada. Na dodatek jej dzieci źle  
znoszą czas, który ich mama  
spędza w szpitalu. – Dzisiaj nie  
idziesz tam, prawda? – pytają ją  
codziennie Basia i Julek. Prowa-  
dzenie domu i wolontariat to ob-  
ciążenie dla młodej matki. Żeby  
nie zwariować, tworzy system.  
Do osiemnastej myśli o szpitalu  
i o wszystkich podopiecznych  
fundacji. Później – tylko o swo-  
ich dzieciach, najważniejszych  
na świecie. Dopiero gdy zasną,  
może wymyślać nowe projekty.  
Tyle jest do zrobienia.

– Nadzieja musi mieć sprzy-  
mierzeńców! – uważa i postana-  
wia spełniać marzenia dzieci.

Zwłaszcza te, które wydają się im  
zupełnie nierealne. – Chcę, aby  
uwiaryły, że wszystko jest moż-  
liwe. Także pokonanie choroby  
– tłumaczy.

Na pierwszy ogień idzie sze-  
ścioletnia Ola. – Leżała pod krop-  
łówką, dostawała chemię i śniła  
o tym, żeby zostać prawdziwą  
baletnicą. Wkrótce miałam dla  
niej dobrą wiadomość: „Olu, za-  
pisałam cię do szkoły baletowej.  
Tylko musisz się postarać, bo  
pierwsza lekcja już za miesiąc”.  
Powoli, z dnia na dzień, jej stan  
zaczął się poprawiać. Aż w koń-  
cu wyszła ze szpitala. W domu  
czekały już na nią baletki i spód-  
niczka z różowego tiulu. Po kil-  
kunastu lekcjach mała wzięła  
udział w przedstawieniu. Zatań-  
czyła na deskach Teatru im. Ste-  
fana Jaracza – opowiada Tisa.

– Dziś po jej choro-  
bie nie ma śladu. Ola  
chodzi do gimna-  
zjum, a po lekcjach  
biegnie na ukochane  
zajęcia baletowe  
– uśmiecha się sze-  
fowa fundacji.

Kolejną marzy-  
cielką była Ania.  
Nieśmiała, skryta,  
szkicowała anioły  
i pisała opowiadania. – Piękne! Ale nie  
wierzyła, że ktoś je  
wyda. A jednak.  
Znany łódzki grafik  
z radością przyjął  
nasze zlecenie, by  
opracować szatę  
graficzną książki.

Naprawdę bardzo  
się postarał, wycza-  
rował чудо. Na urodziny Ani  
książka była gotowa. Zorganizow-  
aliśmy na oddziale wieczór au-  
torski. Ania była taka szczęśliwa.  
Kilka dni później zerknęłam  
do jej szkicownika. Anioły, któ-  
re tak namiętnie rysowała, już  
nie były czarno-białe, lecz kolo-  
rowe. Zobaczyłam w nich życie.  
Wtedy mnie natchnęło. Cho-  
rym dzieciom koniecznie trze-  
ba pokazywać rówieśników,  
którzy wyzdrowieli!

Wkrótce na plakatach w całej  
Polsce pojawiły się uśmiechnię-  
te buzie maluchów, a obok napis  
dodający otuchy: „Nic mi nie  
jest. Po prostu miałem raka”.  
Z jednego z plakatów uśmiecha-  
ła się Weronika. Miała trzy lata,  
gdy wykryto u niej raka mózgu.

Miesiącami leżała w szpitalu  
w ciężkim stanie. – Któregoś  
dnia zwróciła się mamie, że we  
śnie widziała światło. Mama za-  
pytała: „Po co się pojawiło?”.  
Usłyszała: „Powiedziało mi, że  
wyzdrowieję, tylko muszę wal-  
czyć”. No i zaważyła. Dziś jest  
wyleczona, a jej ulubionym stro-  
jem jest fartuch lekarski. Ma też  
słuchawki i specjalne szcypce.  
Wszystkim opowiada, że służy  
do usuwania raka. Lubi się też  
chwalić: „Kiedyś byłam chora,  
teraz jestem sławna” – zaznacza  
Tisa. Tuż po akcji plakatowej  
wymyśliła kolejną. Hakę. – Ha-  
ka to dawny taniec wojenny, któ-  
ry zagrzewał Maorysów do wal-  
ki. Przygotowaliśmy jego nowo-  
czesną wersję – mecz rugby.  
Dzieci kontra zawodowcy. Po  
kilku treningach pod okiem tre-



**4. MAM MARZENIE** Chory Dawid  
marzył o locie policyjnym  
helikopterem. – Nie ma sprawy!  
– usłyszeliśmy od łódzkiej policji.  
I Dawid odbył swój lot – mówi Tisa.

nera reprezentacji Polski nasze dzieciaki były gotowe wyjść na boisko. Zmierzyły się z przeciwnikami w koszulkach z napisem „Drużyna Raka”. Pokonały ich! Pokazały, że każdy może być wojownikiem, że mają w sobie siłę i moc, aby wygrać z czymś, co czasem wydaje się nie do pokonania. Nakręciliśmy film z tej akcji, bez końca wyświetlamy go na oddziałach dziecięcej onkologii. „Wygrywa się, walcząc” – taki jest przekaz. Nie ma w tym kłamstwa. Wszyscy chłopcy, którzy wtedy zgrali, wyzdoro-

wieli – cieszy się Tisa. Właśnie spełniła swoje najskrytsze marzenie. Nosiła je w sercu od lat. – Wiara czasem domaga się dowodów. Raz pojawia się, raz znika, ale w połączeniu z marzeniami pozwala zbudować nawet pałac w środku miasta – mówi. Było to tak: trzy lata temu postanowiła wybudować Pałac dla chorych i porzuconych dzieci.

– To są biedy nad biedami. Nie dość, że cierpią, są jeszcze bezgranicznie samotne. Żeby mogły się poczuć kochane, potrzebują przytulnego

miejsca, troskliwej opieki i miłości – wyjaśnia Tisa. – Poprosiliśmy więc ludzi, którzy wierzą w moc baśni, o dołączenie do załogi Gajusza i przekonanie się, czy można z niczego zbudować coś wielkiego? Udało się! – uśmiecha się Tisa. W dniu otwarcia Pałacu wstęgę przecinał Iwo. Jeszcze trzy lata temu był w takim stanie, że lekarze

przerwali chemioterapię. Ale Iwo się nie poddał i pokonał chorobę. Tak samo Gajusz, syn Tisy. Dziś ma 17 lat, dwa metry wzrostu i końskie zdrowie. Zamierza być generałem. – Mam kwalifikacje – twierdzi. – Wygrałem najważniejszą bitwę – o życie. ●

\*]

PO STOKROĆ.

BO TAK SIĘ MÓWI.

ALE TAK NAPRAWDĘ.

TO PO NIESKOŃCZONOŚĆ

ZA WSZYSTKIE

TE SŁOWA

PRZEZ

WSZYSTKIE

TE LATA

**DZIEKU  
KU  
JE  
MY**

PO STOKROĆ\*



## Fundacja Gajusz

Nawet najmniejsza pomoc jest ważniejsza od wielkiego współczucia – uważa Tisa Żawrocka-Kwiatkowska, założycielka fundacji, która od piętnastu lat opiekuje się najciężej chorymi dziećmi i ich rodzinami. – Jeśli chcecie razem z nami pomagać dzieciom, zapraszamy. Można zostać naszym wolontariuszem albo przekazać fundacji 1% swojego podatku. Szczegóły na: [www.gajusz.pl](http://www.gajusz.pl)

# 18/10 LAT (W) FUNDACJI GAJUSZ



W tym roku przypadają moje 30. urodziny. To jakbym była starsza o 10 lat, a nie o rok! Kiedy to minęło? I jak myślę o tych dziesięciu latach, to wychodzi, że... minęło to w Fundacji GAJUSZ. 10 lat. Właściwie całe moje, mniej lub bardziej, dorosłe życie. A właśnie GAJUSZ osiągnął pełnoletność.

**Magdalena Czekała-Gawęda**

**D**oskonale pamiętam pierwszy dzień, kiedy pojawiałam się w Fundacji. Na kilka miesięcy przed dwudziestymi urodzinami, studentka pierwszego roku prawa, zainteresowana wolontariatem. Bez wahania wybrałam oddział szpitalny. Hospicjum nawet nie rozważałam, w końcu to miejsce, gdzie się umiera. Bardzo się myliłam. Ale wtedy nie mogłam tego wiedzieć. Oddział też okazał się przecieź dobrą decyzją. Wszak zakochałam się tam co najmniej kilkanaście razy! Półtoraroczna Marta, trzyletnia Maja, szesnastoletni Damian, jego rówieśniczka Kasia, Dominik z rodziną, której miałam zaszczyt być częścią. Tak wiele historii! To był dobry czas, trudny i super fajny jednocześnie. Ważny. Kształtujący młody charakter.

Na hospicjum też przyszedł czas i wyszło to tak naturalnie, że prawie niepostrzeżenie. Okazuje się, że spełnianie dziecięcych marzeń jest bardziej fascynujące, niż spełnianie własnych! To była frajda. Zakładam, że ja i mój Sebastian mieliśmy podobną, chociaż formalnie marzenia były jego.

Z marzeń powstał również PAŁAC. Miałam przyjemność go „budować” od początku. Były przysłowiowe krew, pot i dużo dużo łez. Bywało trudno, czasami chciało się po prostu rozłożyć ręce. Sił i determinacji dodawali nam nasi Darczyńcy. Zaufali nam. Podzielili się tym, co mają wtedy, kiedy my opowiadaliśmy tylko o mglistych wizjach, a budynek był kompletną ruiną. Razem stworzyliśmy DOM dla chorych dzieci. Prawdziwie domowy, ciepły, z choinką zimą, długimi spacerami latem...

Wydaje mi się, że od słowa „dom” ładniejsze są tylko „mama” i „tata”. Nad tym też pracujemy... Żeby chorym dzieciom dać też i ich. Bo osiemnastka GAJUSZA to nowe wyzwania i plany. Dmuchając świeczki na urodzinowym torcie będziemy mieli w głowie kilka marzeń do spełnienia. Mamy dobry zespół. Trzeba, warto zakasać rękawy i spełniać marzenia dopóki jest czas.

Nie wiem, co będzie za kolejnych dziesięć lat. Mam nadzieję, że w pewnym sensie będę jednak nadal w tym samym miejscu.

V E

THE VELUX FOUNDATIONS  
VILLUM FONDEN × VELUX FONDEN

...czyli w 4 lata na drugą stronę lustra

Tisa Zawrocka-Kwiatkowska

L U K

S I K





---

## October 2012

### Październik 2012

Najbardziej zapamiętałam spacer po rozkopanym parterze i Jensa-Joergena Pedersena, który robił zdjęcia Iphonem. Objaśniałam, gdzie będzie rejestracja, poradnia, pokoiki dzieci. Zastanawiałam się, czy wierzy w cuda. Obawiałam się, że ma mnie za wariatkę.

### Luty 2016

To dzięki Veluxowi się udało. Dostaliśmy pieniądze na prowadzenie trzech Hospicjów przez 36 miesięcy. W tym czasie dokończyliśmy budowę Pałacu, ogrodu, zakupiliśmy nowoczesny sprzęt medyczny, zdobyliśmy doświadczenie. Fundacja Gajusz kończy 18 lat we własnym Pałacu i ma nowe niezwykle plany na najbliższe lata. Są oczywiście odważne i trudne.

Dziękuję to za mało. Czekam na spotkanie, pierwsze od tamtego czasu. Marzę, że osobiście pokażę – zamiast dziur – komnaty Dzieci, rejestrację, pokój psychologa, hospicjum perinatalne, strych czyli królestwo rodzeństw, ogród, altankę i opowiem o następnych marzeniach, które mogą zmienić kawałek świata.

I remember best our walk around the ground floor and Jens-Joergen Pedersen, which looked like roadworks in full swing, and Mr Jurgen taking pictures with his iPhone. I explained the planned location of the reception area, outpatient clinic, and children's rooms. I wondered if he believed in miracles and feared he might take me for a loony.

### February 2016

We succeeded thanks to Velux. We received funds to run three hospices for 36 months. During that time we were able to finish our Palace and the garden, purchase modern medical equipment, and gain the necessary experience. Gajusz Foundation is now turning eighteen in its own Palace and has new, wonderful plans for the coming years.

A simple 'thank you' is not enough. I'm looking forward to the meeting, the first one since those days. I'm hoping to personally show – in place of holes in the ground – the Children's chambers, reception area, psychologist's room, perinatal hospice, attic (the siblings' kingdom), and our garden with a bower, and to tell the story of my future dreams that can change a small part of this world.

### Oktober 2012

Nogle år siden Jens-Joergen Pedersen kom forbi, vi gik rund og han kikkede på ruinen som skulle være en slot. Han lyttede til min fortælling om vores drømme men var lidt skeptisk i blikket. Jeg snakkede om at her skal være det og der skal vi have en reception og her skal det være værelser til børn. Jørgen gik rund, har taget billeder med sin iPhone og kikkede på ruinen og mig med lidt skeptisk blik.

### Februar 2016

Det lykkedes os bland andet fordi Velux har hjulpet ... I dag er det gået 18 år, vores fond og vores Slot er nu stabil og vi har mange børn som får lov at mærke varme og kærlighed.

I aner ikke hvor stor del i har i vores succes ... de midler i har leveret har bidraget så meget til at vi er i dag her hvor vi er... At sige tak, er ikke nok, jeg håber at jeg kan vise jer sted og kan fortælle om vores rejsen personligt. Håber så meget på gensyn. Med de bedste hilsner

---

Dziękuję! / Thank You! / Tak! *Visa* ... i dzieci z naszego Pałacu / and the children of our Castle / og børnene fra vores Slot

---



THE VELUX FOUNDATIONS  
VILLUM FONDEN ✕ VELUX FONDEN

*Dziękujemy! / Thank You! / Tak!*



# *Pracownia Pediatricznej Opieki Paliatywnej*

**Dr n. med. Aleksandra Korzeniewska-Eksterowicz**

**W**tym roku Fundacja Gajusz "wkra-  
cza w dorosłość", a Pracownia  
Pediatricznej Opieki Paliatywnej  
Uniwersytetu Medycznego w Łodzi  
"idzie do szkoły". Tak właśnie minęło 7 lat od  
rozpoczęcia jej działalności. Pierwszy rocznik  
naszych studentów zapewne kończy właśnie  
szkolenie specjalizacyjne, zapewne są wśród  
nich pediatrzy i neonatolodzy. Mamy nadzieję, że  
wiedza i umiejętności zdobyte w trakcie naszych  
zajęć przełożą się na praktyczną współpracę  
z lekarzami hospicjum. 7 lat naszej pracy dy-  
daktycznej to również ponad 300 lekarzy, któ-  
rzy wzięli udział w kursach specjalistycznych,  
to także publikacja pierwszej w Polsce mono-  
grafii dla lekarzy z zakresu opieki paliatywnej  
nad dziećmi i pierwszego tego typu skryptu dla  
studentów. Monografia została uhonorowana  
Nagrodą Rektora za działalność dydaktyczną.

Uniwersytet Medyczny w Łodzi nadal pozostaje  
jedyną uczelnią medyczną w Polsce, gdzie za-  
jęcia z pediatricznej opieki paliatywnej na stałe  
włączono do obowiązkowego programu na-  
uczania pediatrii. Praca badawcza zaowocowała  
licznymi publikacjami w polskich i zagranicznych  
recenzowanych czasopismach naukowych. Ze-  
spół Pracowni za cykl zagranicznych publikacji  
otrzymał Nagrodę Naukową pierwszego stopnia  
Rektora UM. Głęboko wierzymy, że tymi małymi  
krokami zmieniamy rzeczywistość i przyczynia-  
my się do poprawy jakości opieki medycznej nad  
najciężej chorymi dziećmi.

**Fundacja Gajusz**  
93-271 Łódź  
Jarosława Dąbrowskiego 87  
tel./fax 42 6310041  
[www.gajusz.org.pl](http://www.gajusz.org.pl)

**Dr n. med.**  
**Aleksandra Korzeniewska-Eksterowicz**

jest Kierownikiem  
Medycznym Centrum  
Opieki Paliatywnej dla Dzieci  
i Kierownikiem Pracowni  
Pediatricznej Opieki  
Paliatywnej Kliniki Pediatrii,  
Onkologii, Hematologii  
i Diabetologii Uniwersytetu  
Medycznego w Łodzi

# W STRONĘ DZIECKA

30 LAT TEMU, SZPITAL PEDIATRYCZNY  
WYGLĄDAŁ INACZEJ NIŻ DZISIAJ.  
DOPIERO W LATACH DZIEWIĘCDZIESIĄTYCH  
WYODRĘBNIŁY SIĘ ODDZIAŁY Z PODZIAŁEM  
NA SPECJALIZACJE. WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO,  
ŻE NIKT NIE DBAŁ O TO, CO CHORE DZIECKO  
ODCZUWA...

**Małgorzata Stolarska**



---

## **Powstanie hospicjum dla dzieci było kolejnym przełomowym momentem w moim lekarskim życiu. Bezradność wobec umierającego człowieka, a szczególnie dziecka, jest bardzo trudna do zniesienia.**

---

**O**d ponad 30 lat jestem lekarzem. W tym czasie w medycynie dokonał się ogromny postęp. O wielu chorobach, które jeszcze 20-30 lat temu były nieuleczalne, świat po prostu zapomina. Potrafimy leczyć ciężkie infekcje, zawały serca, przeszczepiać narządy. Wiele chorób nowotworowych, szczególnie u dzieci daje się całkowicie wyleczyć. Coraz lepiej można zapobiegać poważnym schorzeniom poprzez skuteczne szczepienia, wczesną diagnostykę. Udaje się utrzymać przy życiu i wyleczyć dzieci ważące przy urodzeniu mniej niż 1000g. To niewątpliwie milowe kroki w rozwoju medycyny, które sprawiają, że czujemy się jako ludzie coraz bezpieczniejsi. Co ważne – współczesna medycyna sukcesu akceptuje także nieuchronność śmierci i pochyla się nad ludźmi słabymi, umierającymi. Rozwój opieki paliatywnej i hospicyjnej jest także milowym krokiem w postępie medycyny.

**30** lat temu, szpital pediatriczny wyglądał inaczej niż dzisiaj. Klinika, w której pracuję zawsze specjalizowała się w leczeniu chorób przewlekłych. W jej skład wchodziły 3 oddziały – niemowlęcy, dla dzieci młodszych i dzieci starszych. Wiek decydował, na którym

oddziale dziecko było leczone, a nie rozpoznawane. W ten sposób na jednej sali leżały często dzieci z chorobami nowotworowymi, cukrzycą, bólami brzucha i infekcjami. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych wyodrębniły się oddziały z podziałem na specjalizacje. Dzieci przebywały na oddziale same. Rodzice mogli je odwiedzać zaledwie przez 2 godziny w ciągu dnia. Odwiedziny rodziców były przeciwwskazane na oddziale niemowlęcym, bo maluchom trudno było wytłumaczyć, że mama nie może zostać dłużej, dlatego można je było poobserwować tylko przez szybę. Wydawać by się mogło, że nikt nie dbał o to, co chore dziecko odczuwa, jak ogromnym stresem jest dla niego pobyt w szpitalu. Do dziś pamiętam płacz dzieci wciąganych siłą na oddział, bo mamie nie wolno było wejść na salę. Nazywaliśmy to „scenami rozrywania”. Szpitalne, sprane, flanelowe pidżamy, często nie do końca dopasowane, brak zabawek, jednakowe łóżka z białą szpitalną pościelą i dzieci wyglądające przez okna swoich rodziców – to była oddziałowa rzeczywistość. Ówczesne, niedoskonałe metody leczenia sprawiały, że znacznie więcej dzieci z chorobami nowotworowymi umierało. Niestety odchodziły w szpitalu, często w samotności. Powoli ta rzeczywistość ulegała zmianom. Najpierw nieśmiało pozwalano rodzicom w wyjątkowych przypadkach przebywać z dziećmi na

oddziale. Świat zauważył jednak, że dzieci szybciej i łatwiej zdrowieją, jeśli w czasie choroby towarzyszą im najbliżsi, że ma to dla nich ogromne znaczenie. Wkrótce więc zezwolono rodzicom na towarzyszenie swoim dzieciom w szpitalu. To był przełom. Mali pacjenci coraz częściej się uśmiechali. Skończyły się szpitalne pidżamy i oddziałowy rygor.

**K**iedy w latach dziewięćdziesiątych nasz oddział stał się onkologią i hematologią dziecięcą i szykował się totalny remont, wyjechałam na staż do Paryża. Tam na podobnym do naszego oddziale miałam podpatrzeć jak jest zorganizowany. Wtedy po raz pierwszy miałam możliwość obserwować pracę oddziałowego psychologa. Towarzyszył dzieciom i ich rodzicom na co dzień, rozmawiał, pomagał rozwiązywać problemy. W polskich realiach, kiedy finansów wystarczało ledwie na leki i pracę podstawowego personelu medycznego, psycholog wydawał się nieosiągalnym luksusem. Wtedy z pomocą przyszła nowo utworzona Fundacja Gajusz. Wolontariusze, psycholodzy, terapia zajęciowa. Nieosiągalne stało się możliwe. Można chorować na tak poważną chorobę jak nowotwór inaczej. Przede wszystkim mieć wokół siebie ludzi umiejących udzielić wsparcia. Dzieci szybko zapominają o troskach i problemach i chętnie uczestniczą w każdej formie zabawy. Ośrodek Łódzki przez wiele lat miał najlepszą sytuację w Polsce w zakresie opieki psychologicznej na oddziale onkologicznym dzięki Fundacji Gajusz. Dzisiaj na oddziałach onkologicznych naszego szpitala pracuje zespół psychologów. Kolorowe ściany, liczne zabawki, książki i gry, wszechobecni wolontariusze, sprawiają, że dzieci czują się na oddziale dobrze, a ich chorowanie jest o wiele łatwiejsze. A przede wszystkim są z nimi przez cały czas rodzice.

**P**owstanie hospicjum dla dzieci było kolejnym przełomowym momentem w moim lekarskim życiu. Bezradność wobec umierającego człowieka, a szczególnie dziecka, jest bardzo trudna do zniesienia. To uczucie towarzyszyło mi często. Tym bardziej, że każdy w ostatnim okresie swojego życia, kiedy medycyna nie może wyleczyć, powinien mieć szansę na powrót do domu i godną śmierć we własnym łóżku, wśród ludzi kochających i bliskich. Nie raz wyobrażałam sobie co czują rodzice, pozostawieni sami sobie w tym najtrudniejszym w ich życiu momencie. Wiele dzieci niepotrzebnie umierało w szpitalu, kiedy rodzicom nie starczało sił, aby udźwignąć ciężar odchodzenia własnego dziecka. Dlatego, kiedy Fundacja Gajusz otworzyła hospicjum dla dzieci od razu podjęłam tam pracę. To było lekarstwo na bezradność w obliczu nieuleczalnej choroby. Dzieci z chorobą nowotworową stanowią zaledwie 1/4 pacjentów hospicjum. Pozostali to inne śmiertelne choroby, przede wszystkim dotykające centralnego układu nerwowego. Praca w hospicjum to lekcja pokory dla każdego lekarza.

**18** lat istnienia Fundacji Gajusz, to długi czas pochylania się nad najbardziej chorymi dziećmi, zapewniając im nie tylko opiekę medyczną w ramach hospicjów – domowego, stacjonarnego i perinatalnego, ale wszelką inną pomoc – psychologiczną, duchową, często materialną. W tym czasie zmieniła się medycyna, zmienił się świat, ale chore dzieci wciąż cierpią i potrzebują wokół siebie wrażliwych ludzi, którzy zaakceptują je takimi jakimi są. Urodzinowo życzę Fundacji dalszych sukcesów w poszukiwaniu sposobów na opiekę nad chorymi, opuszczonymi i biednymi dziećmi i satysfakcji ze zmieniania świata na lepszy.





# 18 lat Wolontariatu

CZYM JEST WOLONTARIAT?  
CO DAJE I JAKIE RODZI  
PYTANIA? PRZECZYTAJCIE  
HISTORIE NASZYCH  
WOLONTARIUSZY

**Isa:** „Wolontariat, to taki prezent, który na pierwszy rzut oka daje się drugiemu człowiekowi. Prezent, który składa się z mojego czasu, uśmiechu, talentów. Co mam, to dam. Bardzo szybko okazuje się, że wbrew zasadom matematyki, dobro i miłość tylko wtedy się mnożą, kiedy się je dzieli. To, co daję od siebie, sprawia, że poznaję siebie, że przekraczam swoje granice, że zostają odkryte pokłady siły, nadziei, wiary, miłości. Pomaganie jest tak naprawdę zaskakiwaniem siebie samego. Prawdą staje się to, że dostaję siebie w dawaniu siebie...”

**Bogdan:** „Nie raz, nie dwa przechodziłem obok Pałacu przy ul. Dąbrowskiego. Jako człowiek

uważający się za dobrego i wrażliwego zawsze bardzo współczułem dzieciom i na tym moja dobroć i wrażliwość się kończyły. Owszem, wiele razy myślałem o zostaniu wolontariuszem, ale inne ważne sprawy odwlekały tę decyzję w czasie. A pomoc chorym dzieciom zostawiałem innym – fundacji, państwu, bardziej kompetentnym osobom. Dziś aż dziw mnie bierze, dlaczego tak późno się zdecydowałem. Przecież od lat miałem wszystko, co jest potrzebne do tego, żeby być dobrym, skutecznym wolontariuszem – zdrowie, empatię, chęci, trochę wolnego czasu. Świadomość tego, jak łatwo można pomóc, kiedy spełniamy powyższe warunki, sprawia, że dziś nie mogę mieć wymówek. Uro-

dziłem się zdrowy, jestem zdolny do pomocy – to nie moja zasługa. Tak jak i nie jest winą dziecka, że jest chore i wymaga szczególnej troski, opieki i miłości. Te dwa stwierdzenia to zarazem wyraz wdzięczności za to, co mam, jak i obowiązek wobec chorych dzieci. Poznając bliżej człowieka, który jest w potrzebie, nie możemy udawać, że jego problem znika, zaraz po tym, jak wrócimy do domu. Kiedy myślę o podopiecznych „Gajusza” – szczególnie o tych, których poznałem osobiście – przestaję ich traktować, jak jednych z wielu, którym zwykliśmy zawsze współczuć (i zazwyczaj, to wszystko, na co było nas stać), ale jak bliskie mi osoby, którym mogę pomóc w realny sposób. Nawet, jeśli tylko w skromnym wymiarze – poprzez dobry dotyk, ciepło, zaba-

wę, drobną pomoc w codziennym życiu. Wolontariat pomógł mi zrozumieć, że potencjał, jaki w nas drzemie, jest znacznie większy niż nam się wydaje. Mając świadomość, że pewnych spraw nie zmienimy, zadaję pytanie: jak bardzo powinniśmy się zaangażować?”

**Gosia:** „Wolontariuszem można być, ale nie trzeba. Powinno się jednak wiedzieć, że decydując się na wolontariat, bierzemy na siebie wielką odpowiedzialność. W moim przypadku, świadomość tego, co mnie czeka, była zaangażowana, lecz nie stuprocentowa. Przez kilka lat towarzyszyłam w chorobie onkologicznej dziecku koleżanki i o tę wiedzę byłam bogatsza od innych osób, które zdecydowały się na

życie na Ziemi. Ilekroć Małgosia przyjeżdżała do szpitala, byłam u Niej prawie każdego dnia. Rozmawiałam z Nią, karmiłam, przewijałam, myłam, prałam Jej ubranka, bawiłam się z Nią i choć większość tych czynności nie należy do obowiązków wolontariusza, widziałam, jak bardzo Jej zależało, żebym to właśnie ja się Nią zajęła. Na tej znajomości przećwiczyłam na sobie właśnie odpowiedzialność. Wiedziałam, że nie mogę Jej zawieść, bo Ona bardzo na mnie czekała. Często, kiedy wchodziłam na oddział słyszałam od pielęgniarek, że Małgosia pyta o mnie od rana (a dobrze wiedziała, że będę u Niej dopiero po pracy). Byłam z nią do końca... a nawet 3 godziny dłużej... Czułam się w obowiązku, żeby być z Nią do ostatniego oddechu... Tak naprawdę

---

## **Myślę, że moje życie zyskało bardziej na wartości odkąd poszerzyłam grono wolontariuszy. Z pewnością nie marnotrawię żadnej sekundy, co wcześniej miało miejsce**

---

wolontariat. Niemniej jednak inaczej to wygląda, gdy odwiedzasz znajomych, a nieco inaczej, kiedy wchodzisz w świat obcych ludzi dotkniętych ciężką chorobą. Moja przygoda z wolontariatem zaczyna się od wizyty na szpitalnym oddziale. Idę tam, by towarzyszyć 10-letniej Małgosi, która walczy z potworem uciskającym Jej mózg. Dziewczynka nie chodzi, ruchy Jej rączek są nieskoordynowane, a mowa jest bardzo niewyraźna. Ta mała, a jakże wielka osóbką w szpitalu przebywa sama... rzadko bywają z Nią rodzice... Osobowość Małgosi tak mnie urzeka, że nie jestem w stanie wyjść ze szpitala, mówiąc żegnaj. Pytam, czy chciałaby, żebym Ją jeszcze odwiedziła. Odpowiedź jest twierdząca i w ten sposób zaczyna się moja wielka przygoda z Małgosią, która trwa dokładnie 372 dni. Tyle dało nam

gości w moich myślach bezustannie, a potrzeba odwiedzania Jej grobu jest we mnie czasami tak wielka, że zdarzyło mi się jechać z Łodzi do Włocławka taksówką.

Ale wolontariat nie skazuje nas tylko i wyłącznie na cierpienie. Towarzysząc w chorobie Małgosi, jednocześnie zaczęłam prowadzić regularne warsztaty plastyczne, które dają zarówno dzieciom, jak i nam wolontariuszom wiele radości. Oczywiście, czuję się w obowiązku, żeby przychodzić na oddział 2 razy w tygodniu, ale to nie problem. Po 18 miesiącach wspólnej przygody ze sztuką widzę, jak nasze godziny spędzane na oddziale przekładają się na samopoczucie, wolę walki z chorobą, jakość życia pacjentów i ich rodziców w szpitalu. Dla nas, wolontariuszy, bez-



cenne jest wynagrodzenie, jakie otrzymujemy od naszych podopiecznych. W świecie wolontariatu nie rządzi pieniądz. Tutaj rządzą uczucia, którymi nasi podopieczni wynagradzają nam czas spędzany z nimi – każdy uścisk, uśmiech, buziak wypełnia nasze serca – to taki portfel wolontariusza.

Myszę, że moje życie zyskało bardziej na wartości odkąd poszerzyłam grono wolontariuszy. Z pewnością nie marnotrawię żadnej sekundy, co wcześniej miało miejsce – piszę to z pełnym przekonaniem."

**Konrad:** „Jestem wolontariuszem i przedstawiam Wam jeden z najważniejszych obszarów mojej działalności – obszar, w który zaangażowany jestem nieprzerwanie, niemal od początku mojej pracy dla Fundacji Gajusz.

Wiele lat po pogodzeniu się z faktem, że do końca życia pozostanę jedynakiem w moim życiu nieoczekiwanie pojawiły się Rodzeństwa. Mam na myśli siostry oraz braci ciężko chorych dzieci – podopiecznych Fundacji Gajusz. Właśnie z myślą o tych dzieciach – zdrowych, a jednak odczuwających bolesne skutki choroby najbliższej osoby – w Fundacji powstał projekt potocznie zwany projektem dla Rodzeństw. Ma on na celu m. in. zapewnienie podopiecznym niezbędnych korepetycji oraz udziału w wymarzonych zajęciach pozalekcyjnych.

Bardzo ważną częścią projektu są comiesięczne, przeważnie jednodniowe spotkania, na których dzieci z różnych części województwa spędzają miło czas we wspólnym gronie. Podczas tych zjazdów razem odwiedzamy takie miejsca, jak park linowy, planetarium czy też ogród zoologiczny, a także przeprowadzamy różnorodne warsztaty w siedzibie Fundacji.

.....

**Zgłaszając się do udziału w projekcie nie spodziewałem się, że zostanie dzięki niemu spełnione moje wielkie, dawno zapomniane marzenie z dzieciństwa – marzenie o posiadaniu młodszego siostry**

.....

Istotą naszych spotkań jest to, że dają one dzieciom możliwość przebywania w towarzystwie osób pod pewnym względem bardzo podobnych do siebie. Każde z nich wie doskonale, jak to jest mieć ciężko chorego brata lub siostrę. Nikt nie jest w stanie lepiej zrozumieć, co przeżywają od rówieśników doświadczających podobnego losu.

Dzięki projektowi dla Rodzeństw niektóre z dzieci spotykają się regularnie już od ponad dwóch lat. W rezultacie tworzy się między nimi coraz silniejsza więź. Zatarciu ulegają rozbieżności takie, jak znacząca różnica wieku, czy pochodzenie z różnorodnych środowisk. Czasami można nawet odnieść wrażenie, że powoli wszyscy stajemy się jednym wielkim rodzeństwem. Dlatego pragniemy dalej tworzyć dla naszych podopiecznych „miejsce”, w którym zawsze czuć się będą komfortowo i bezpiecznie. W którym po prostu będą wśród swoich.

Ja w projekcie oprócz funkcji opiekuna i kierowcy, przez długi czas udzielałem korepetycji

dwójce naszych podopiecznych, a także przez 9 miesięcy towarzyszyłem rezolutnej dziewczynce w drodze na dodatkowy angielski. Przy okazji dłuższych wyjazdów próbuję swoich sił również, jako animator.

Jak wcześniej wspominałem nie posiadam biologicznego rodzeństwa. Zgłaszając się do udziału w projekcie nie spodziewałem się, że zostanie dzięki niemu spełnione moje wielkie, dawno zapomniane marzenie z dzieciństwa – marzenie o posiadaniu młodszego siostry (obecnie nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czy marzyłem również o bracie:). Dzięki udziałowi w projekcie otrzymałem pewną namiastkę takiego stanu. Dowiedziałem się, jakie to uczucie pomagać młodszemu rodzeństwu w lekcjach, jak to jest wozić młodszą siostrę na angielski, tudzież zabrać młodszego brata do kina.

Biorąc pod uwagę powyższe, oraz to, jaką rolę projekt odgrywa w życiu dzieci, stwierdzam bezapelacyjnie, że każda sekunda, jaką w jego ramach poświęciłem była tego warta."

**WIELE TYCH I INNYCH HISTORII SKŁADA SIĘ NA**

**WOLONTARIAT GAJUSZA.**

Możesz zdecydować, czy chcesz być jego częścią. Jeśli uważasz, że pomaganie jest czymś normalnym i masz ochotę w ten sposób wspierać nasze działania, zapraszamy na szkolenie dla wolontariuszy!

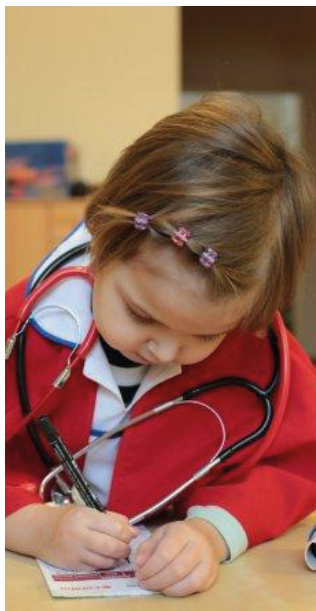
**WSZYSTKIE INFORMACJE ZNAJDZIESZ NA:**

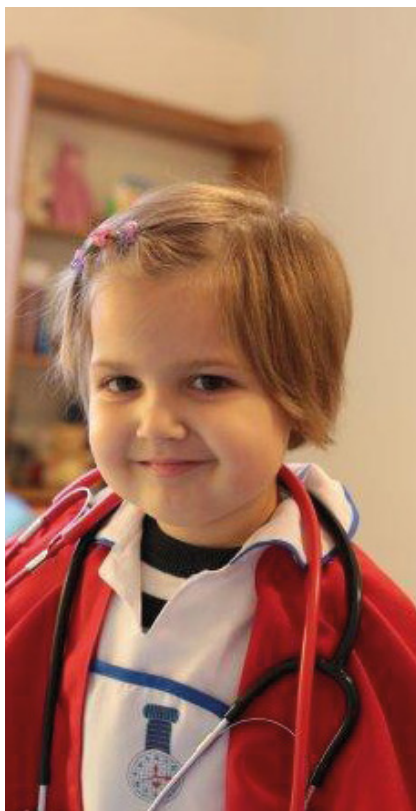
**[gajusz.org.pl/dla-pomagajacych/](http://gajusz.org.pl/dla-pomagajacych/)**  
zostan-wolontariuszem/

Joanna Bednarska

# 3 LATA Z GAJUSZEM

W FUNDACJI GAJUSZ PRACUJĘ OD PONAD TRZECH LAT. ZAJMUJĘ SIĘ PRACĄ SOCJALNĄ NA ODDZIAŁACH ONKOLOGICZNYCH DLA DZIECI W SZPITALU PRZY SPORNEJ. MOIM PIERWSZYM POWAŻNYM ZADANIEM BYŁA BUDOWA PLACU ZABAW PRZY SZPITALU...





W Fundacji Gajusz Pracuję od ponad trzech lat. Zajmuję się pracą społeczną na oddziałach onkologicznych dla dzieci w szpitalu przy Spornej. W ramach mojej pracy między innymi współorganizuję imprezy okolicznościowe na oddziałach (np. Dzień Dziecka, Dzień Matki, Gwiazdka, Mikołajki, urodziny podopiecznych i wiele innych), współpracuję z wolontariuszami, pomagam przy organizacji wyjazdów na leczenie za granicą i w kraju poza szpitalem przy Spornej. Moim pierwszym poważnym zadaniem była budowa placu zabaw przy szpitalu, z którego jestem bardzo dumna.

Jednak mój pierwszy kontakt z Fundacją miałam jako mama Weroniki – pacjentki oddziału VII. Odwiedzali nas psychologowie związani z Gajuszem, o których nawet wówczas nie wiedziałam, że pracują w Fundacji. Weronika dostawała prezenty urodzinowe i gwiazdkowe od Gajusza. Pod koniec leczenia poznałyśmy Prezes Gajusza – Tisę Żawrocką, z którą połączyła nas wspólna chęć pomagania chorym dzieciom i ich rodzinom. Jednak zanim zaangażowałam się w pracę w Fundacji, Tisa zrealizowała marzenie Weroniki, która bardzo chciała zostać lekarzem. I miała ku temu okazję! Jako niespełna pięcioletka dostała prawdziwy fartuch, stetoskop i ... udostępniono jej na jeden dzień gabinet lekarski, w którym przyjmowała prawdziwych pacjentów i wypisywała recepty. Ten dzień udokumentowano cudowną sesją zdjęciową, której wyniki do dzisiaj zdobią nasze ściany i którą wspominamy z uśmiechem.

Od kiedy pracuję w Fundacji czasem udaje mi się spełniać marzenia dzieci lub chociaż pomagać w ich realizowaniu. Jest to chyba najprzyjemniejsza część mojej pracy. Uczestniczyłam w wydaniu książki Ani Witczak-Szumskiej „Moje Anioły”. Książka stoi dzisiaj na honorowym miejscu w mojej prywatnej biblioteczce. Zorganizowałam 12 urodziny Jasia w zamkniętym jeszcze wówczas Planetarium EC1 oraz sesję zdjęciową dla dziewcząt po leczeniu onkologicznym. Te wymienione oraz wiele innych cudownych wydarzeń na zawsze pozostaną w mojej pamięci.

Fundacja Gajusz nie jest może doskonała. Nie wszystko, co sobie zakładamy, udaje się nam zrealizować. Jednak niezwykle często udaje nam się wykonać rzeczy niemożliwe i jesteśmy z nich dumni. Zanim Fundacja powstała, na oddziałach onkologicznych nie było żadnego wsparcia psychologicznego, wolontaryjnego, finansowego. Nie było uwielbianych przez dzieci warsztatów plastycznych, nie było Gwiazdki, Dnia Mamy, Dnia Dziecka. Nie było zabawek, pomocy w transportach, wyprawek na przeszczepy, torcików urodzinowych. Dzieci, rodzice, lekarze i pielęgniarki musieli sobie radzić sami ze strachem, chorobą, złymi emocjami i śmiercią. A przecież najgorsza na oddziale jest nuda, która powoduje, że jest czas na złe myśli: o chorobie, o śmierci i o strachu. Nasze towarzystwo sprawia, że nuda i lęk jest odrobinę mniej. Największą nagrodą za naszą pracę jest dziecięcy, uśmiech i słowa, który słyszymy od rodziców.

# JAŚ MIAŁ 20 MINUT

HOSPICJUM PERINATALNE ZAPEWNIĄ OPIEKĘ MEDYCZNĄ, PSYCHOLOGICZNĄ, SOCJALNĄ JESZCZE PRZED NARODZINAMI ŚMIERTELNIE CHOREGO DZIECKA, ORGANIZUJĘ PORÓD, WSPIERA W OKRESIE NOWORODKOWYM JEŚLI MALEŃSTWO PRZEŻYJE. GWARANTUJE POMOC PSYCHOLOGICZNĄ TAK DŁUGO JAK RODZICE JEJ POTRZEBUJĄ.

**Tisa Żawrocka-Kwiatkowska**

## Grudniowy piątek

Pani Ania dowiedziała się o chorobie dziecka na początku ciąży. Od razu została skierowana przez swojego lekarza do hospicjum perinatalnego. Opiekowaliśmy się nią przez kilka miesięcy. Kiedy termin porodu się zbliżał pani Anna zamieszkała w hospicjum, w pobliżu szpitala położniczego. W grudniowy piątek wieczorem miał zacząć się mój przedświąteczny weekend z rodziną. Jednak odebrałam telefon od lekarza dyżurnego z hospicjum perinatalnego z prośbą o pomoc. Poród naszej pacjentki trwał już 24 godziny. Zgodziłam się towarzyszyć młodej mamie. Kilka godzin później jechałam do szpitala zastąpić lekarkę... Po drodze zadzwoniłam do fotografa. Obudziłam księdza Pawła, półprzytomnie zapytałam czy o tej godzinie mówi się dzień dobry czy dobry wieczór.

## Czuję, że się uda

O trzeciej nad ranem weszłam na salę porodową w szpitalu Pro-Familia. Nowoczesność tego miejsca polega nie tylko na luksusowych warunkach, sprzecznie najnowszej generacji, ale przede wszystkim na przygotowaniu całego personelu do najtrudniejszych sytuacji. W ciężkich chwilach położna tuliła dziewczynę, pod koniec porodu nawet ją całowała w czoło. Nie mogłam uwierzyć. Zadbana także o rodzinę czekającą na korytarzu. Pojawiłam się po 29 godzinach porodu, zobaczyłam panią Annę ledwo stojącą na nogach. Położna wytłumaczyła nam, że nie można bardziej przyspieszyć porodu, ponieważ pacjentka miała kiedyś cesarskie cięcie. Zmęczona dziewczyna nagle zupełnie przytomnie popatrzyła na mnie i zapytała – pani Tiso, a co

jeśli ja nie dam rady? Wiedziałam, że muszę ważyć słowa. Dałam sobie dwie sekundy na zebranie myśli, zaufałam intuicji. – Czuję, że się uda – odpowiadam, ale w razie kłopotów szpital jest przygotowany do cesarskiego cięcia. – Nawet teraz? – dopytywała. Spojrzałam na położną, potwierdziła. Wyszłam na chwilę do rodziny, księdza, fotografki. Mama pani Ani zaczęła ze mną rozmawiać o wnuczku. Bała się wejść na salę porodową. Przekonałam ją, że warto spróbować. Obiecałam, że będę przy niej. Wróciłam do „mojej” pani Ani. Po 31 godzinach porodu musiała czuć się jak na torturach, oczywiście przez cały czas dostawała środki przeciwbólowe, ale nie ma leku na wyczerpanie, strach, brak snu. Zmieniałam kompresy na głowie, starałam się być obok i reagować na jej potrzeby. Ale nie mogłam przyspieszyć narodzin dziecka, nikt nie mógł. Pani Ania traciła siły. Zaczęła prosić o cesarskie cięcie. Pomyślałam – Nie, no nie teraz, po 32 i pół godzinie cierpienia jeszcze operacja? Kolejny ból? Przez wiele dni? Nie. Spontanicznie zaczęłam mówić do rodzącego się chłopca – „Jasieńku, mamusia już naprawdę nie ma siły, bardzo Cię proszę urodź się podczas czwartego skurczu”. Pani Aniu poprośmy go razem. – Jasiu nie bój się, czekamy – gadałam z wielkim zaangażowaniem. Nie mam już siły – dodała pani Anna. Lekarz popatrzył na nas trochę zdziwiony. Tylko cudowna położna powiedziała – żeby się pan nie zdziwił, może ten mały ma dobrego ducha. Nieważne o kim mówiła, było to bardzo potrzebne, bo przecież w tym momencie pani Anna potrzebowała wiary, że ten czwarty skurcz będzie ostatnim. Umierałam wtedy ze strachu. W myślach mówiłam: – Jasiu, Jasieńku błagam Cię! Udało się. Właśnie podczas czwartego skurczu przyszedł na świat Jan. Leżał bezpiecznie w ramionach mamy, ssał piąstkę, taki kłębuszek, z bujną czupryną, ze stopkami blisko twarzy. Przytulał się do mamusi przepiękny, różowy, cichutki.

## Pożegnanie przed wschodem

Został zbadany przez lekarza, który szepnął, że mamy mało czasu. Poprosiłam szybko księdza, babcię, fotografkę, tato był z nami cały czas. Po chwili usłyszałam: – Janie, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha. Ksiądz Paweł płakał. Tylko mama Jasia była spokojna i pełna jakiegoś blasku. W jednej chwili zmęczenie zniknęło. – Już nie pamiętam tego bólu – powiedziała. Położna zapytała kto przetnie pępowinę. Dostrzegłam opór w rodzinie. Podeszłam i pierwszy raz w życiu przecięłam pępowinę... Podałam Babci wnuka delikatnie, podtrzymałam go dopóki nie poczuła się pewnie, później wzięła go tato. W tym czasie Agnieszka robiła zdjęcia. Dzięki temu rodzina ma piękne pamiątki. Synek szybko wrócił do mamy. Leżał wtulony, spokojny, bez żadnych oznak bólu. Tylko nie ssał już piąstki. Pomyślałam, że to zły znak. Po kilku minutach podszedł lekarz, osłuchał Jasia i powiedział, że odszedł. Tak bardzo chciałam pocieszyć panią Annę, chociaż jednym słowem. Miałyśmy jasną umowę, że o wszystkim mówimy sobie szczerze, nie miałyśmy czasu, żeby poznać się dobrze, dlatego zgodziła się być moim przewodnikiem. Kiedy zobaczyła, że szukam jakiegoś słowa, powiedziała krótko – „teraz nie rozmawiamy”. Bezcelne, bo jej „tak” znaczyło tak a „nie” to było nie. Moja rola się skończyła, pocałowałam mamę i synka i wyszliśmy z księdzem i Agnieszką. Było jasno, słońce wschodziło czerwienią nad ulicą Niciarnianą. Dochodziła ósma. Za chwilę miało nadejść Boże Narodzenie. Dopiero w domu zaczęłam płakać. Kiedy się obudziłam dotarło do mnie dlaczego oni nie chcieli przeciąć pępowiny. Przeraziłam się, a potem rozumiałam, że tak miało być.

(Imiona mamy i dziecka zostały zmienione.)



# Oliwia

NASZA OLIVKA URODZIŁA SIĘ JAKO ZDROWA I ŚLICZNA DZIEWCZYŃKA,  
A JEJ OKAZAŁE JAK NA NOWORODKA WŁOSY ZACHWYCAŁY  
WSZYSTKICH! PÓŹNIEJ ZACZĘŁY SIĘ PROBLEMY...

**Honorata i Marek, rodzice cudnej Olivki**



Nasza Oliwka urodziła się jako zdrowa i śliczna dziewczynka, a jej okazałe jak na noworodka włosy zachwycały wszystkich! Była bardzo słodkim i grzecznym noworodkiem. Jako szczęśliwi rodzice zaczęliśmy życie w naszej nowej, trzyosobowej rodzinie w listopadzie 2014 roku. W błogiej nieświadomości tego, jak bardzo los potrafi być niesprawiedliwy, trwaliśmy trzy miesiące. Później zaczęły się problemy z rozwojem psychoruchowym Oliwki i w końcu, gdy miała niespełna pięć miesięcy, wyładowaliśmy w warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka na diagnostyce.

Pamiętam dokładnie ten dzień, gdy dowiedzieliśmy się, że nasza mała, słodka córeczka jest bardzo, bardzo chora. Tak bardzo, że nie ma żadnych możliwości leczenia, że jej choroba będzie szybko postępować, a jedyne, co możemy robić, to łagodzić występujące objawy. Leukodystrofia globoidalna, czyli choroba Krabbe'go. Nowe dla nas słowa, które będą nam krążyć w głowie do końca życia. Podczas omawiania diagnozy pojawiła się sugestia, że będziemy potrzebować opieki hospicyjnej. Hospicjum, słowo, którego znaczenie było nam znane, słowo które brzmi strasznie, przerażająco, które do

tej pory kojarzyło nam się tylko i wyłącznie ze śmiercią. Nie chciałam, żeby Oli miała potrzebę opieki hospicyjnej. Taka informacja jest dla młodych rodziców nie do zaakceptowania. Po prostu nie do zaakceptowania!

Przez kolejne dni kilkakrotnie słyszeliśmy o tym, że powinniśmy zapisać się do łódzkiego hospicjum domowego Gajusz. Mówiła nam o nim zaprzyjaźniona Pani Doktor, fizjoterapeutka Oliwki oraz znajoma znajomej, która również miała nieuleczalnie chore dziecko... W końcu zdecydowaliśmy się spotkać z lekarzem z Gajusza. Ale tak tylko wstępnie, porozmawiać, zapytać, na czym to wszystko polega. Pan Doktor zbadał Oliwkę, opowiedział nam o jej chorobie, powiedział czego możemy się spodziewać i jak Gajusz może nam pomóc. Nie zapisaliśmy się do hospicjum od razu, nie czuliśmy jeszcze takiej potrzeby. Dopiero po około miesiącu Oliwka zaczęła zachowywać się niepokojąco. Ta wstrętna choroba zaczęła się odzywać. Wiedziałam, że lekarz z pobliskiej przychodni nam nie pomoże. W jeden dzień podjęliśmy decyzję, że zapisujemy Oliwkę do hospicjum domowego, najlepiej natychmiast.



Jesteśmy z Fundacją Gajusz już 8 miesięcy. Oby było tych miesięcy znacznie więcej, choć wiemy, że czas naszej znajomości kiedyś musi dobiec końca. Gajusz to zespół fajnych i bardzo potrzebnych ludzi, bez których nie wyobrażam sobie teraz funkcjonować. Przez ten czas mieliśmy możliwość "przetestowania" Gajusza na różne sposoby... Wypożyczenie drogiego sprzętu medycznego. Wizyty dyżurnego lekarza, gdy Mała zaczyna się niepokojąco zachowywać. Ciągłe telefony na numer dyżurny, gdy coś nas niepokoi. Szybka reakcja neurologa na wzmożoną czynność napadową. Pomoc, gdy

zabrakło nam leku i nie mieliśmy recepty. Możliwość pozostawienia Oliwki w hospicjum stacjonarnym na jeden dzień, gdy musieliśmy załatwić pilne sprawy poza Łodzią. Szczere rozmowy na tematy trudne i nieuniknione, i wiele, wiele innych sytuacji... Otrzymaliśmy pomoc w każdej chwili, kiedy jej potrzebowaliśmy, a to wszystko ze spokojem i życzliwością. Dzięki zespołowi Gajusza nasza córka ma zapewniony możliwość największy komfort, a my w zaciszu domowym dajemy jej to czego, potrzebuje najbardziej, czyli miłości...

Hospicjum. Teraz wiemy, co kryje się za tym słowem. Z uwagi na takie miejsca jak Gajusz powinno się zmienić znaczenie słowa "Hospicjum" w słowniku języka polskiego jak i w świadomości ludzi. Hospicjum, Hospicjum Domowe Fundacji Gajusz to ogromna pomoc, wsparcie, spokój, komfort, poczucie bezpieczeństwa i zrozumienie, o które trudno w tak nienormalnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.



# PO MOC PRA WNA

Zaduszki 2012. Spałam spokojnie, nie miałam żadnych złych przeczuc. Po północy obudził mnie Gajusz. Julek miał wypadek – powiedział. Pojechałam do szpitala. Czekałam na wynik tomografii komputerowej jak na wyrok lub ocalenie syna. Julek we krwi, półprzytomny, kropiółka z morfiną, mój strach nie pozwalał mi oddychać. Żeby tylko żył, nieważne jak. Boże, znam tyle modlitw – okazało niespodziewanie nawet dla mnie, żeby głowa była cała – negocjowałam ze stwórcą.

Kiedy dowiedziałam się, że głowa i kręgosłup nie uległy urazowi płakałam ze szczęścia. Z resztą sobie jakoś poradzimy. Leczenie trwało ponad dwa lata. Zadłużyłam się, sprzedałam samochód. Pomogła rodzina i przyjaciele. Teoretycznie powinniśmy mieć pieniądze



na leczenie, rehabilitację, konsultacje. Dobre prawo na teorii się kończy, bo nie działa. A kiedy rodzina nie ma co sprzedać? Nie ma zdolności kredytowej? Wtedy to niedziałające prawo jest odpowiedzialne za niepełnosprawność ofiar wypadków komunikacyjnych. Bo rehabilitację trzeba zacząć już kilka dni po zabiegach. Firmy LINK4 nie polecam nikomu, kiedy kupujecie najtańszą i najgorszą polisę na rynku pamiętajcie, że narażacie osoby poszkodowane na kalectwo. Czy kilkadziesiąt złotych oszczędności jest tego warte? Po trzech latach zakończyła się sprawa w pierwszej instancji. Julkowi sąd zasądził wysokie odszkodowanie. Firma Link4 złożyła apelację. Teraz mój syn jest prawie zdrowy, spokojnie poczeka na pieniądze, szczególnie, że odsetki ustawowe są bardzo korzystne.

## Tisa Żawrocka-Kwiatkowska

Kiedyś na korytarzu sądowym zapytałam mecenasa reprezentującego jednego ze „słabo płacących” ubezpieczycieli, po co się procesują, przecież obaj jesteśmy fachowcami i wiemy, że sprawę ostatecznie przegramy. Dojdą im do zapłaty koszty procesu, odsetki...

Odpowiedział szczerze: to taka taktyka. Żeby klienci wiedzieli, że z nami jest ciężko, że trzeba szukać adwokata, że trzeba zapłacić wpis w sądzie, że na wyrok poczekają. I dlatego wiele osób rezygnuje ze sprawy sądowej, biorą co dajemy, albo nawet i nic, i sami biorą na plecy całe nieszczęście, które im się zdarzyło. Mam nadzieję, że ta taktyka się przestanie opłacać. Owszem, jak widać na przykładzie sprawy Julka, sprawy trwają czasem dość długo, ale ostatecznie ta walka na pewno się opłaca. Oprócz samej kwoty zadośćuczynienia, zwrotu wszystkich kosztów związanych z leczeniem, zwrotu kosztów sądowych – wygrywający otrzyma odsetki, naliczane od 31 dnia od zgłoszenia szkody. Obecnie wynoszą one 7% rocznie, chyba trzy razy tyle co najlepsza lokata bankowa. Ten 31 dzień jest kluczowy. Bo właśnie 30 dni od dnia zgłoszenia szkody ma ubezpieczyciel na samodzielne obliczenie i wypłatę odszkodowania ubezpieczeniowego. Jeśli coraz większa grupa poszkodowanych będzie występować o zapłatę i walczyć o swoje sprawy przed sądem – to taktyka niepłacenia „bo nie” przestanie się opłacać. I może wtedy ubezpieczyciele zaczną rzeczywiście uczciwie płacić 30. dnia od zgłoszenia szkody? Jednolity front poszkodowanych to swoisty ruch społeczny, który może doprowadzić do takiej całkowitej niepolitycznej zmiany zachowania ubezpieczycieli. Nie powinniście się Państwo obawiać – sądy nie są takie straszne, jak mogłoby się wydawać. A i adwokatów specjalizujących się w sprawach odszkodowawczych jest całkiem sporo, a koszty prowadzenia spraw wcale nie są tak ogromne, jak się mówi. Ostrzegalbym jednak przed różnego rodzaju „firmami odzyskującymi odszkodowania” – tu można wpakować się w poważne kłopoty, ale to już inna historia.

**Prof. Szymon Byczko,  
adwokat.**



Kancelaria

**Fortak&Karasiński**

.....  
[fandk.com.pl](http://fandk.com.pl)



Kancelaria Prorodzinna

**Legal Group**

.....  
[legallgroup.pl](http://legallgroup.pl)



Centrum Medyczne

**Szpital Świętej Rodziny**

.....  
[swietarodzina.com.pl](http://swietarodzina.com.pl)



Blog Dekoratorski

**ROOMOR**

.....  
[roomor.blogspot.com](http://roomor.blogspot.com)

Kiedyś wydawało nam się, że chore dzieci i fundacja mają prawa. Dziś wiemy, że w sprawach trudnych najbardziej potrzebujemy PRAWNIKÓW, bo przepisy nie zawsze są jasne, często się zmieniają, bywa, że są przeciwko najłabszemu.

Dlatego dziękujemy kancelarii Fortak&Karasiński za nieodpłatną pomoc prawną.

Łódź, ul. Gdańska 77a/3  
tel.: 42 676 90 20  
e-mail: [biuro@fandk.com.pl](mailto:biuro@fandk.com.pl)

Agnieszka Piwek jest radcą prawnym, który wspiera naszą fundację. Jest profesjonalistką, ale przede wszystkim dobrą, wrażliwą osobą. Pomaga nam, ponieważ wie jak trudno jest poradzić z prawem, które nie zawsze chroni, nie wszystko porządkuje. Dzięki niej fundacja Gajusz wkracza w pełnoletniość bezpiecznie. Dziękujemy!!

Łódź, ul. Piotrkowska 211  
tel.: 42 636 53 99  
e-mail: [office@legallgroup.pl](mailto:office@legallgroup.pl)

Centrum Medyczne Szpital Świętej Rodziny to nowoczesne, wielospecjalistyczne centrum medyczne. Zapewnia swoim pacjentom łatwą dostępność do lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, lekarzy specjalistów i szerokiej bazy diagnostycznej, możliwość wcześniejszej rezerwacji i planowania wizyt oraz dogodny dojazd w centrum miasta.

Najwyższa jakość świadczonych usług, bezpłatne świadczenia w ramach kontraktu z Narodowym Funduszem Zdrowia.

Dziękujemy za nieodpłatne badania z zakresu medycyny pracy dla naszych wolontariuszy.

Roomor to blog dekoratorski. To dzięki jego autorkom Pałac jest taki piękny. Polecamy właśnie tę dziewczynę, czyli Dagmarę i Olę, ponieważ:

- Design dla dzieci to ich pasja!
- Podchodzą do każdego projektu indywidualnie. Chętnie podzielą się z Tobą swoimi pomysłami :)
- Lubią wyzwania!
- Robią fajne zdjęcia :)
- A przede wszystkim zwracają uwagę na potrzeby małych lokatorów i możliwości ich rodziców!

Dagmara Fajks  
+48 501 340 714

**FORTAK & KARASIŃSKI**  
legal advisors

**leгал**  
G R O U P

**CENTRUM MEDYCZNE**  
SZPITAL ŚW. RODZINY

**roomor**

**DZIĘ  
KU  
JE  
MY**

*Fak  
możesz  
nam  
pomóc?*

**Wszystkim  
Osobom,  
Ludziom,  
Kobietom,  
Mężczyznom,  
Dzieciom,  
Firmom,  
Spółkom,  
Urzędnikom,  
Urzędom,  
Instytucjom,  
Szpitalom,  
Przedsiębiorcom  
za 18 lat  
nieustającej  
POMOCY.**

**PRZELEJ  
DOWOLNĄ  
KWOTĘ**  
na nasze konto  
- obok znajdziesz  
Magiczny Różowy  
Druczek  
Cudotwórczy

..... lub .....

**ODWRÓĆ  
STRONĘ**  
i poznaj inne  
rozwiązania.

.....

**DZIĘ  
KU  
JE  
MY!!!**

Nr rachunku odbiorcy 80 1240 1545 1111 0010 6257 1028
Nr rachunku odbiorcy cd.
Odbiorca: Fundacja GAJUSZ, ul. Dąbrowskiego 87, 93-271 Łódź
Kwota:
Zleceniodawca: Darowizna na rzecz Fundacji Gajusz, OPP K/03/16
Tytułem: tytułem cd.

Oplata: \_\_\_\_\_

stempel  
dzienny

nazwa odbiorcy Fundacja GAJUSZ, ul. Dąbrowskiego 87, 93-271 Łódź
nazwa odbiorcy cd.
nr rachunku odbiorcy 80 1240 1545 1111 0010 6257 1028
W P * PLN kwota waluta
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
nazwa zleceniodawcy
nazwa zleceniodawcy cd.
tytułem Darowizna na rzecz Fundacji Gajusz, OPP K/03/16
tytułem cd.

Oplata: \_\_\_\_\_

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

DOMÓD / POKWITOWANIE DLA ODBIORCY/NADAWCY

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

odcinek dla banku / poczty



# JAK MOŻESZ NAM POMÓC?

**NUMER NASZEGO KONTA:** BANK PEKAO 80 1240 1545 1111 0010 6257 1028

**SPEŁNIAJ MARZENIE DOPÓKI JEST CZAS - PRZEKAŻ 1% PODAKTU**

# KRS 0000 109 866



## ZRÓB PRZELEW ONLINE

[www.gajusz.org](http://www.gajusz.org)

Zajrzyj na stronę  
(zakładka dla pomagających >  
pomóż teraz) i przekaz  
dowolną kwotę.



## ZAPROŚ NAS NA ŚLUB

+48 (722) 003 003  
(42) 631 00 41

Zakochane Pary, poproście  
swoich ślubnych gości  
o darowiznę zamiast kwiatów  
- nasi wolontariusze są  
do Waszej dyspozycji.



## ALLEGRO

Nick: Hospicjum\_Dzieci

Dołącz do grona AlleAniołów!  
Znajdź wśród naszych aukcji  
coś dla siebie lub podaruj  
coś na sprzedaż.



## ZOSTAŃ WOLONTARIUSZEM

+48 697 789 920

Podaruj nam i naszym  
podopiecznym coś  
bardzo bardzo  
cennego - Twój czas.



Poznaj  
bliżej  
Jagienkę



GAJUSZ  
FUNDACJA